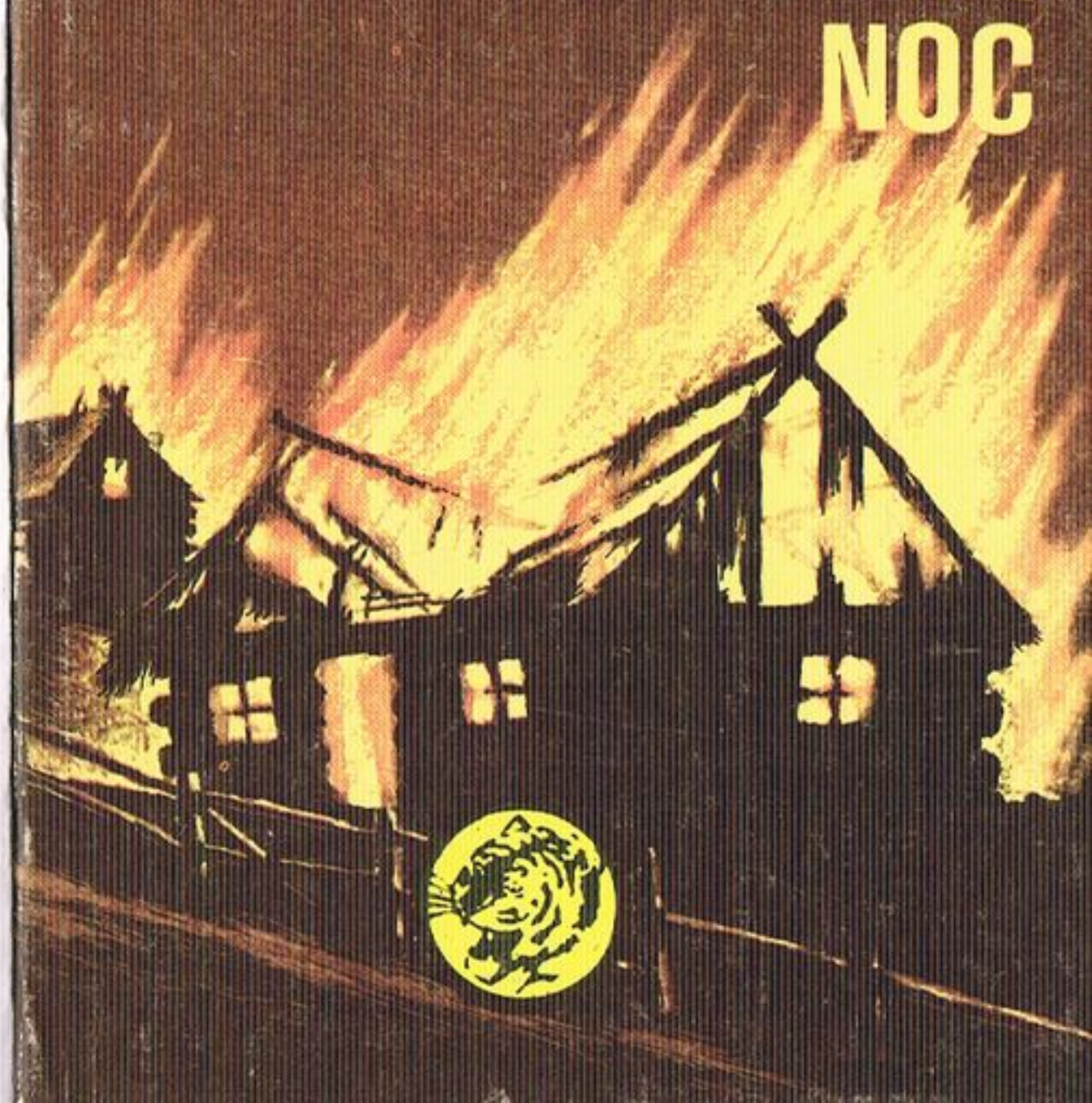


**HASŁO
NA DZISIEJSZĄ
NOC**



CZESŁAW GRZELAK

**HASŁO
NA DZISIEJSZĄ
NOC**

**WYDAWNICTWO
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ**

Okładkę projektował
KRZYSZTOF WALCZAK

Redaktor
WANDA WŁOSZCZAK

Redaktor techniczny
ANNA LASOCKA

Korektor
KRYSTYNA STACHOWIAK

© Copyright by Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1988

ISBN 83-11-07618-9

„PRYRWA” I INNI

Starosta Wilkos zamknął starannie pustą szufladę biurka i odchylił się w fotelu. Powiódł wzrokiem po niewielkim pokoju, w którym oprócz metalowej szafy, mieszczącej dokumenty i pieczętki starostwa, wieszaka, biurka, trzech krzesel i fotela nie było nic więcej. Przez tych kilka miesięcy pełnienia przez niego funkcji starosty niewiele się tutaj zmieniło. Może tylko podłoga nieco bardziej skrzypi pod jego wysłużonymi, żołnierskimi butami, które otrzymał rok temu od kwatermistrza jednostki radzieckiej przechodzącej przez Hrubieszów na front. Wtedy to jako znany działacz ludowy i jeden z dowódców licznych placówek Batalionów Chłopskich w Hrubieszowskiem obejmował stanowisko starosty hrubieszowskiego. Jak to wówczas powiedział ów rosyjski major? Zaraz, chyba coś takiego: „Naczalnik rajona, a takaja płochaja obuw”, po czym polecił towarzyszącemu mu starszynie przynieść „naczalniku kożannuju obuw”.

W butach tych przemierzał wielokrotnie ulice

miasta grzęznąć w błocie i w śniegu. A jednego i drugiego w Hrubieszowie nie brakowało w ostatnim roku wojny. Wypuszczał się również do większych miejscowości powiatu, szczególnie w swoje strony. Wojśławice, Uchanie, Raciborowice, Strzelce...

Podczas ostatniego wyjazdu w tamte okolice samochód z Urzędu Bezpieczeństwa, którym jechał w towarzystwie trzech funkcjonariuszy, został na szosie chełmskiej ostrzelany ogniem z broni maszynowej. Nie przywiązywał do tego faktu większej wagi, bowiem zdarzały się tutaj dość często napady na samochody, szczególnie osobowo-terenowe, jako wożące „kogoś znacznego”. Dopiero gdy wiosną tego roku otrzymał dwa wyroki śmierci, jeden podpisany przez rejonowego referenta Służby Bezpieczeństwa Ukraińskiej Powstańczej Armii, „Kopywę”, a drugi przez „Rzymianina”, dowódcę oddziału zbrojnego organizacji „Delegatura Sił Zbrojnych”, poczuł, że jego działalność tak dalece zbrojnemu podziemiu nie odpowiada, iż gotowe pozbyć się go w radykalny i bardzo często stosowany przez nie sposób. Ale on nie dbał o swoje bezpieczeństwo. Kilkakrotne propozycje szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Atłasiuka, aby nosił broń krótką, stanowczo odrzucał.

Alarmującym sygnałem było przypadkowe aresztowanie w lipcu 1945 roku jednego z członków oddziału „Rzymianina”. W trakcie śledztwa człowiek ten zeznał, że otrzymał rozkaz wykonania wyroku na Wilkosie. Atłasiuk, który cenił starostę za jego za-

angażowanie w sprawy powiatu i chłopski upór w realizacji wszystkiego, czego się podjął, rozpoczął starania o przerzucenie go na inny teren. A że na „Ziemiach Odzyskanych” brakowało ludzi do tworzenia polskiej administracji, oferta Atłasiuka została przyjęta z zadowoleniem. Wilkos, który początkowo nie chciał słyszeć o wyjeździe, a nawet w żartach odgrażał się Atłasiukowi, że naśle na niego swoich „bechowców”, powoli pogodził się z tą myślą i rozpoczął przygotowania do opuszczenia rodzinnych stron.

Właśnie przekazał obowiązki swojemu zastępcy, w sekretariacie cmoknął niezdarnie w rękę pannę Anię o podejrzenie zaczerwienionych oczach i skierował się ku wyjściu, aby jeszcze wstąpić z wizytą pożegnalną do sekretarza Komitetu Powiatowego PPR.

Wyszedł na zalaną popołudniowym słońcem ulicę. Przechodzący patrol milicyjny oddał mu honory wojskowe i zwolnił kroku, jakby chciał się zatrzymać. Wilkos obrzucił młodych ludzi uważnym spojrzeniem. Zaraz, czy to nie chłopcy z jednej z jego byłych placówek BCh. Chyba z Wojśławic. Miał ochotę pobiec za nimi, porozmawiać. W końcu machnął ręką. Co to da? I tak jutro wyjeżdża. Nie wiadomo, kiedy wróci.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się do widocznego z daleka jednopiętrowego budynku — siedziby powiatowych władz PPR. W gabinecie sekretarza zastał szefa UB Atłasiuka i komendanta MO podporucznika Stanisława Rzęda. Dobrze, że są obaj,

pomyślał, nie będę musiał składać im pożegnalnych wizyt. Podali sobie ręce. Atłasiuk wyjął paczkę papierosów, rosyjskich. Jednocześnie wyciągnęli ręce w jego kierunku. Nie mieli wyrzutów sumienia, że tak skwapliwie korzystają z poczęstunku. Wiedzieli, że szef UBP dzięki zażyłości z dowódcą czasowo rozmieszczonej w Hrubieszowie radzieckiej jednostki wojsk wewnętrznych często dysponuje tym deficytowym towarem.

Sekretarz kilka razy zaciągnął się papierosowym dymem i gestem dłoni zaprosił obecnych do zajęcia miejsca.

— Dobrze, że jesteś, starosto — zwrócił się do Wilkosa. — Chcieliśmy z tobą porozmawiać o sprawach dotyczących bezpieczeństwa powiatu. Ty najlepiej znasz ten rejon, szczególnie jego część północną, więc chyba nam pomożesz. Wszak wyjeżdżasz dopiero jutro — ni to stwierdził, ni to zapytał, a widząc potakujące skinienie głową starosty ciągnął dalej. — Ostatnio podziemie aktywizuje się coraz bardziej. Mamy liczne tego przykłady nawet tu, w samym Hrubieszowie. Przypomnę chociażby próbę zamachu na ciebie, Wilkos, czy szefa UB. Coraz częściej dochodzi do wymiany strzałów między patrolami a nie znanymi nam osobnikami. Wydany kilkanaście dni temu dekret o amnestii u nas na razie nie przyniósł oczekiwanych rezultatów...

— Chwileczkę, sekretarzu — wtrącił Wilkos. — Czemu ty się dziwisz? Czy po tym, jak wiosną tego roku zostały ostrzelane oddziały byłych akowców, które zmierzały do Hrubieszowa, aby się ujawnić,

mogłeś spodziewać się czego innego. Za to, że wówczas nie zapewniliśmy im bezpieczeństwa, musimy teraz płacić. W dodatku do dnia dzisiejszego nie wiemy, kto maczał w tym palce. Jedni mówią, że to był pododdział Wojsk Wewnętrznych, który o niczym nie wiedział, inni, że Ukraińcy przebrani w polskie mundury.

— Nie możemy wykluczyć obydwu możliwości — westchnął Atłasiuk. — Ale pewności nie mamy żadnej.

— Wy w ogóle niewiele wiecie — zachnął się sekretarz. — Nie tylko o tym zajściu, ale o całym podziemiu w Hrubieszowskim. A może się mylę? Może podacie jakieś interesujące szczegóły? Referujcie. Słuchamy.

Atłasiuk był zaskoczony nagłym wybuchem sekretarza. Milczał chwilę. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Zdawał sobie sprawę, że fakty, o których będzie mówił, są dobrze znane obecnym w pokoju ludziom. Nie miał jednak innego wyjścia. Odchrząknął nerwowo i zaczął:

— Na północy powiatu, w rejonie lasów strzeleckich, działają bliżej nie rozpoznane uzbrojone grupy. Wiemy tylko, że znajduje się w nich wielu byłych członków AK oraz NSZ. Mają licznych sympatyków wśród tamtejszych chłopów, którzy boją się jak ognia gospodarki kołchozowej obrzydzanej bez przerwy przez londyńską propagandę. Leśne oddziały zorganizowane są na wzór wojskowy, a ich dowódcy, znamy tylko pseudonimy: „Ciąg”, „Rzymia-

nin”, „Kot”, podczas „kontrybucji” wystawiają pokwitowania z pieczętkami organizacji „Delegatura Sił Zbrojnych”. Liczebność tych zgrupowań jest trudna do ustalenia. Mieszkańcy tamtych stron określają je na tysiąc i więcej ludzi. My jesteśmy skłonni przyjąć, że znajduje się tam czterystu do pięciuset ludzi pod bronią.

Ałtasiuk przerwał na chwilę. Sekretarz, który lekko pukał palcami prawej ręki w biurko, spojrzał na Wilkosa i spytał:

— Jak myślisz, dlaczego oni nie chcą wyjść z lasu? Przecież to są chłopcy, przecież czekają na nich rodziny i gospodarka.

— Sądzę, że jest wiele przyczyn. Przede wszystkim brak zaufania do nowej władzy, na której kilka miesięcy temu, w czasie próby ujawnienia się, srodcie się zawiedli. Obojętne, co my na ten temat powiemy, oni winią za to władzę ludową. Jeśli dodamy do tego powiązania z obozem londyńskim oraz propagandę o kołchozach i Polsce jako siedemnastej republice radzieckiej, obraz będzie w miarę dokładny. Sądzę jednak, że szef UB przecenia liczebność ukrywających się ludzi w północnej części powiatu.

Ałtasiuk spojrzał na Wilkosa i sekretarza, a widząc, że czekają na jego dalszą wypowiedź, wrócił do poprzedniego wątku:

— Z podziemiem poakowskim nie mieliśmy dotychczas większych starć. Wiadomo tylko, że uzbrojone oddziały siedzą w lasach i chyba na coś czekają. My z kolei nie mamy odpowiednich sił, aby prze-

prowadzić jakąś większą akcję. Znacznie gorzej wygląda sytuacja na południu powiatu. Tamtejsze gminy są prawie opanowane przez nacjonalistyczne podziemie ukraińskie, zbrojnie przeciwstawiające się zarządzeniom władz powiatowych. Jego siły są znaczne i występują zwykle w składzie sotni odpowiadającej w przybliżeniu kompanii wojska. Niewiele jednak o nich wiemy, ponieważ jakakolwiek penetracja tamtego terenu przez naszych ludzi jest niemożliwa. Praktycznie nie istnieje tam również nasza administracja.

Długo jeszcze trwała narada w gabinecie sekretarza Komitetu Powiatowego PPR, a wnioski z niej płynące do wesółych nie należały. Stan bezpieczeństwa powiatu pogarszał się.

— Jeżeli nie przyjdzie tu co najmniej pułk wojska — stwierdził na zakończenie podporucznik Rząd — to nie ma mowy o zwalczaniu band, szczególnie tych organizowanych przez nacjonalistów ukraińskich.

Sierpniowe słońce chyliło się ku gęstym krzewom porastającym brzegi Huczwy, gdy Wilkos wyszedł z budynku PPR i ruszył w stronę domu. Szedł w dół ulicy i spoglądał w kierunku zachodnim. Wszakże na „Zachód” miał jutro wyjechać. Ostatni raz patrzył na podmiejskie łąki i płynącą wśród nich Huczwę, a myśli jego krążyły wokół spraw minionych, wokół wydarzeń, które rozegrały się w tych stronach. Niedaleko Hrubieszowa jest wioska, w której się urodził. Tam chodził do szkoły powszechnej. Potem by-

to gimnazjum, wojna, okupacja. I działalność w Batalionach Chłopskich. A przez ostatni rok niełatwe sprawy powiatu, za które odpowiadał. Dla jednych był swój, dla drugich obcy, chociaż powiadano mu, że w lesie są także ludzie z jego byłych placówek BCh.

Strasznie skomplikowane jest życie, pomyślał. Poczł się nagle zmęczony. I może właśnie tó zmęczenie spowodowało, że nie zauważył, iż dochodzi do pomnika Stanisława Staszica wzniesionego przez społeczeństwo Hrubieszowa w 1922 roku w dowód pamięci za założenie przez niego Hrubieszowskiego Towarzystwa Rolniczego. Nie zauważył również, że naprzeciwko niego idzie dwóch mężczyzn w modnych wówczas „oficerkach” i bacznie mu się przygląda. Spostrzegł ich dopiero wtedy, gdy dzieliła ich odległość zaledwie kilku kroków. W ich rękach błysnęły lufy pistoletów. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, poczuł silne uderzenie w piersi.

Narada u sekretarza Komitetu Powiatowego PPR w Hrubieszowie ujawniła, jak niewiele władze powiatu wiedziały o wrogim podziemiu działającym na ich terenie. A bez dokładnych wiadomości na ten temat trudno było myśleć o jego neutralizacji i likwidacji. Jaka była zatem rzeczywistość u progu jesieni 1945 roku na ziemi hrubieszowskiej?

W omawianym okresie rejony na północ od drogi Zamość, Hrubieszów, Uściług były w zasadzie tere-

nem działania polskiego podziemia zbrojnego, a na południe od tej drogi dominowali członkowie Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Wprawdzie rozgraniczenie to rysowało się wyraźnie, ale już wówczas można było dostrzec pewne symptomy współpracy polskiego i ukraińskiego podziemia w postaci wymiany informacji, dostarczania żywności czy ukrywania rannych i poszukiwanych.

Polskie podziemie zbrojne podporządkowane było organizacji poakowskiej noszącej nazwę Delegatura Sił Zbrojnych, która w połowie września 1945 roku została przemianowana na Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, w skrócie WiN. Kierownictwo WiN kładło poważny nacisk na pracę propagandową wśród ludności, mającą na celu osłabienie władzy ludowej. Oddziały zbrojne tej organizacji miały występować czynnie jedynie w razie skierowanych przeciwko nim akcji organów bezpieczeństwa i wojska, jednak z każdym miesiącem wzmagala się ich aktywność, coraz częstsze były akty terrorystyczne wobec przedstawicieli władzy i ludności ustosunkowanej pozytywnie do ludowego państwa.

Powiat hrubieszowski (jako obwód) wchodził w skład Inspektoratu Zamojskiego WiN (Okręg Lubelski), na którego czele do stycznia 1946 roku stał kapitan Marian Gołębiewski (ps. „Irka”, „Ster”), były szef Kedywu Inspektoratu Zamość i komendant hrubieszowskiego obwodu AK, od października 1943 roku cichociemny. Po aresztowaniu kapitana Gołębiewskiego Inspektorat objął kapitan Stanisław

Książek (ps. „Wyrwa”, „Rota”). Do połowy 1946 roku komendantem obwodu hrubieszowskiego WiN był Józef Dąbrowski (ps. „Azja”), mający w swej dyspozycji dwa zbrojne oddziały: oddział Józefa Śmiecha (ps. „Ciąg”, „Rzymianin”), liczący około 160 ludzi — od października 1945 roku dowodził nim Czesław Hajduk (ps. „Ślepy”), oraz oddział „Kota” (nazwisko nieznane) — od stycznia 1946 roku dowodził nim Stanisław Jastarski (ps. „Hel”), przyszły komendant obwodu hrubieszowskiego WiN (około 70 ludzi).

Część członków oddziałów zbrojnych WiN na co dzień zajmowała się pracą na roli. Na większe akcje mogła być mobilizowana w trybie alarmowym. Mniejsze akcje były prowadzone przez niewielkie oddziały kadrowe pozostające w ciągłym pogotowiu bojowym.

Tak więc podziemie polskie na terenie Hrubieszowskiego dysponowało poważną siłą zbrojną, zważywszy, że w większości oddziały wyposażone były w broń maszynową i miały dobrze działającą siatką wywiadowczą złożoną z miejscowej ludności.

Znacznie bardziej złożony był problem ukraińskiego podziemia zbrojnego. Żeby go wyjaśnić, sięgnijmy nieco do historii.

Ukraiński ruch nacjonalistyczny zrodził się na początku XX wieku (nie mówiąc już o próbach utworzenia państwa ukraińskiego w XVII wieku przez Bohdana Chmielnickiego) i wówczas jego przywódcy

myśleli jedynie o oderwaniu Ukrainy od Rosji i poddaniu jej pod wpływ Niemiec. Z czasem jednak, szczególnie po klęsce Niemiec w 1918 roku i zwycięstwie Rewolucji Październikowej w Rosji, ruch ten zaczął zmierzać do utworzenia niepodległego burżuazyjnego państwa ukraińskiego, obejmującego obszar Ukrainy Radzieckiej, Ukrainy Zachodniej i Zakarpackiej oraz część Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny. Szczególne znaczenia nabrał po utworzeniu w 1929 roku w Wiedniu partii politycznej — Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN), na której czele stał początkowo Eugeniusz Konowalec, a od 1939 roku Andrij Melnyk. W 1940 roku w OUN następuje rozłam na frakcje kierowane przez Melnyka i przez Stepana Bandereę.

Od początku istnienia OUN wiązała swoje nadzieje z Niemcami, licząc, że przy ich poparciu uda się stworzyć „Samostijnju Ukrainu”. Zaczęły powstawać pierwsze oddziały dywersyjne, które na przykład w 1939 roku rozbrajały miejscowe posterunki policji polskiej oraz napadały na wycofujące się polskie oddziały wojskowe. W 1941 roku przy pomocy Niemców Bandera organizuje „Legion ukraiński” podzielony następnie na bataliony: „Nachtigall” i „Roland”, które zapisały się krwawo między innymi w zbrodniczych wyczynach na ludności Lwowa. Jednak Niemcy nie mieli zamiaru tworzyć „Samostijnju Ukrainu”. W sierpniu 1941 roku część Ukrainy włączyli do Generalnego Gubernatorstwa, a z pozostałej części utworzyli Generalny Komisariat Wołyńsko-

-Podlaski, wchodzący w skład „Reichskommissariat Ukraine”, podlegający ministrowi Rzeszy do spraw obszarów wschodnich Alfredowi Rosenbergowi. Wywołało to zrozumiałe niezadowolenie ukraińskich nacjonalistów, co zmusiło OUN do częściowej zmiany taktyki. OUN przeszła do formalnej opozycji wobec Niemiec i przystąpiła do tworzenia własnej siły zbrojnej — Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), mającej stanowić główny atut w walce o „Samostijnu Ukrainu”. Jak pisze A. Szcześniak i W. Szota w książce „Droga do nikąd”: „Mordując ludność polską i zwalczając radziecką partyzantkę, OUN—UPA »oczyszczała« teren i umacniała swe wpływy na obszarze Ukrainy Zachodniej, traktowanej jako baza przyszłego »powstania«. Klęski ponoszone przez Niemcy na froncie wschodnim wzmagaly wysiłki nacjonalistów w przygotowaniach do bezpośredniej walki z ZSRR. Działania UPA przeciw Niemcom i ich armii miały od początku charakter demonstracyjny i propagandowy. Nie chodziło w nich o osłabienie niemieckiego potencjału militarnego, lecz głównie o uzyskanie poparcia dla celów ukraińskiego nacjonalizmu tych odłamów społeczeństwa ukraińskiego, które cierpiały terror i ucisk ekonomiczny okupanta”.

Z chwilą zakończenia wojny nastąpiła pewna reorientacja OUN, która postawiła na sprzeczności w łonie Wielkiej Trójki, mającej doprowadzić do wybuchu wojny i rozbicia Związku Radzieckiego, a co za tym idzie utworzenia państwa ukraińskiego. Z tego

też względu nacjonałiści ukraińscy wzmożli akcje propagandowe i dywersyjne, mające sygnalizować światu potężny i powszechny ruch ukraiński na rzecz samodzielności Ukrainy. W Polsce, wykorzystując początkową słabość organizującej się władzy ludowej, OUN—UPA rozbudowała swoją strukturę cywilną i wojskową i opanowała większość południowo-wschodnich powiatów województwa rzeszowskiego oraz lubelskiego. Dzięki sprężystej i zdyscyplinowanej organizacji cywilnej oraz utworzonej na wzór partyzantki Ukraińskiej Powstańczej Armii — liczącej w Polsce w okresie największego rozkwitu około 2500 członków — a także zakonspirowanym, uzbrojonym członkom tzw. samoobrony wiejskiej (Samoobronnych Kuszczowych Widditów — SKW), zrzeszającej kilka tysięcy ludzi, dzięki umiejętnemu wykorzystaniu poparcia części ludności ukraińskiej i stosowaniu w sprzyjających warunkach terenowych partyzanckich metod walki, stali się nacjonałiści ukraińscy groźnym przeciwnikiem, paraliżującym poczynania władzy ludowej. „Szczególnie ostro — jak piszą cytowany już Szcześniak i Szota — OUN—UPA przeciwdziałała realizacji umowy polsko-radzieckiej o wymianie ludności, w wyniku czego Ukraińcy mieszkający w Polsce mieli być przesiedleni do USRR. Słusznie dopatrując się w tym groźby utraty podstawy działania, OUN—UPA rozwinęła szeroką działalność propagandowo-polityczną, terrorystyczną i sabotażową zmierzającą do sparaliżowania akcji przesiedleńczej”.

Tereny południowo-wschodniej Polski objęte działaniami OUN—UPA nosiły w ich nomenklaturze nazwę „Zakierzońskiego Kraju” (kraju za linią Curzona — wschodnią granicą Polski), podzielonego na okręgi, nadrejon, rejony, kuszczę (4—7 wsi) i stacje (1—2 wsie). Sprawami „Zakierzońskiego Kraju” kierował Krajowy Prowyd OUN, na którego czele stał prowydnyk krajowy Jarosław Staruch (ps. „Stiach”), mający między innymi do pomocy krajowego referenta wojskowego, jednocześnie naczelnego dowódcę UPA na teren Polski, Mirosława Onyszkiewicza (ps. „Orest”, „Biłyj”).

Okręgiem III OUN, który obejmował powiaty: Hrubieszów, Tomaszów Lubelski, Włodawa, i południowo-wschodnią część powiatu Biała Podlaska, kierował prowydnyk okręgu Eugeniusz Sztendera (ps. „Pryrwa”), który w okresie styczeń—październik 1946 roku był jednocześnie referentem wojskowym okręgu (okręgowym dowódcą UPA), przejmując tę funkcję od Anatola Szydoruka (ps. „Jahoda”). „Pryrwa” od kwietnia 1946 roku był również prowydnykiem nadrejonu „Łyman”, w którego skład wchodziły powiaty Hrubieszów i Tomaszów Lubelski, a wcześniej, bo od października 1945 roku do października 1946 roku, dowodził odcinkiem taktycznym „Danyliw”, terytorialnie pokrywającym się w zasadzie z Okręgiem III OUN — wcześniej dowódcą tego odcinka był „Jahoda”, a po „Pryrwie” Włodzimierz Soroczak (ps. „Berkut”). Odcinek taktyczny „Danyliw” to wojskowy rejon działania kurenia (odpo-

wiednik batalionu) i dowódca tego odcinka był jednocześnie dowódcą jego sił zbrojnych.

W skład kurenia „Pryrwy” wchodziły następujące sotnie (kompanie): „Krapki” (nn), nad którą od lutego 1946 roku objął dowództwo Michał Kuczer (ps. „Jar”), Włodzimierza Siwaka (ps. „Zirka”) — od końca lutego dowodził nią Semen Prystupa (ps. „Dawyd”) oraz Eugeniusza Jaszczuka (ps. „Duda”) — objął dowództwo po „Lisie” na przełomie 1945 i 1946 roku. Ponadto w Hrubieszowskim działała między innymi czasowo odkomenderowana z terenów USRR sotnia Wasyla Krala (ps. „Czaus”).

Sotnie były grupami bojowymi operującymi samodzielnie i liczyły od 60 do 100, i więcej, dobrze uzbrojonych strilców (strzelców). W miarę potrzeby, na rozkaz dowódcy kurenia, mogły się łączyć w celu przeprowadzenia większej akcji. Sotnie składały się z czot (plutonów), a te z kolei z rojów (drużyn). Odcinek taktyczny „Danyliw” dysponował najniższym liczebnie kureniem UPA w „Zakierzońskim Kraju” (w różnych okresach liczył od 170 do 300 ludzi), kureniem, który działał głównie w południowej części powiatu hrubieszowskiego, mając poparcie ludności ukraińskiej, zamieszkującej tamtejsze wsie.

Siły kurenia stanowiły jednak tylko część zbrojnego podziemia ukraińskich nacjonalistów. Obok pododdziałów UPA w terenie operowały bojówki ukraińskiej służby bezpieczeństwa (SB), bojówki SKW oraz członkowie OUN, którzy w razie potrzeby mogli być również zmobilizowani i uzbrojeni. Po-

nadto na określony teren niejednokrotnie przerzucano sotnie z innego rejonu.

W okresie od września 1945 do lipca 1946 roku w powiecie Hrubieszów UPA skoncentrowała się głównie na przeciwdziałaniu akcji przesiedlania ludności ukraińskiej do USRR, dostrzegając w tym zagrożenie dla własnych interesów i głoszonych haseł. W obawie przed całkowitą utratą baz zaopatrzeniowych i rezerw mobilizacyjnych poszczególne sotnie usiłowały zwalczać ochronę transportów ewakuacyjnych, niszczyć drogi i mosty, likwidować komisje przesiedleńcze, palić spisy mieszkańców podlegających repatriacji, a nawet opuszczane wioski, aby nie mogła w nich osiedlić się ludność polska. Upowcy urządzali zasadzki na mniejsze pododdziały wojska, mordowali milicjantów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa, na porządku dnia były też rabunki.

Mimo sprawnie na ogół prowadzonej akcji przesiedleńczej liczebność oddziałów UPA nie malała. Pod naciskiem banderowskich prowodyrów bądź z własnej woli część młodzieży męskiej zasilala leśne sotnie, żywiąc złudną nadzieję, że dojdzie niebawem do wybuchu trzeciej wojny światowej i utworzenia „niezawisłej Ukrainy”. UPA nie zamierzała zatem składać broni, stawka na utrudnienie i przedłużenie repatriacji ludności ukraińskiej miała w jej politycznych spekulacjach wyraźnie określony cel.

Początkowo nie przewidywano skierowania do Hrubieszowa specjalnej jednostki wojskowej. Akcje na tym terenie mieli prowadzić żołnierze 3 dywizji

piechoty, którzy po likwidacji zbrojnego podziemia w powiecie Tomaszów Lubelski przesunęliby się ku północy, by „oczyszczać” kolejne gminy z elementów występujących przeciwko Polsce Ludowej z bronią w ręku. Plany te nie zostały jednak zrealizowane. Likwidacja zbrojnego podziemia w rejonie Tomaszowa przeciągała się, a w Hrubieszowskim podziemie aktywizowało się coraz bardziej. Zabójstwo starosty Wilkosa w sierpniu, napady UPA na wojskowe grupy kontyngentowe powodujące wzrost ofiar wśród żołnierzy, zabójstwo 4 członków komisji przesiedleńczej koło miejscowości Waręż i inne tego typu wypadki spowodowały, że w Hrubieszowskie postanowiono skierować jednostkę wojskową o dużym doświadczeniu frontowym. Wybór padł na 5 Kołobrzeski Pułk Piechoty.

Nieoficjalne życzenie komendanta powiatowego MO w Hrubieszowie, podporucznika Rządu, miało się spełnić.

ALARM W CZĘSTOCHOWIE

Chorąży Franciszek Matysek usiadł na krześle w pokoju oficera inspekcyjnego pułku i spojrzał na wiszący na ścianie stary zegar. Dochodziła godzina dwudziesta trzecia. Przyłapał się na tym, że ilekroć pełni służbę oficera inspekcyjnego, zawsze się zastanawia, co oznaczają litery R—A na wahadle starego zegara. Do tej pory nikt nie potrafił mu tego wyjaśnić, mimo iż pytał wszystkich, którzy ten stary zegar

widzieli. Jedynie sierżant Bogdan Lipiński ze zwiadu, znany kpiarz i zawiadziak, stwierdził, iż Niemcy w dowód miłości do chorążego Matyska uwiecznili w ten sposób imię jego ukochanej — Reginy. Matysek wzruszył wówczas ramionami, nawet nie śmiał się z tego dowcipu, ale teraz, ilekroć spojrzy na owe litery, myśli o pozostawionej w Lublinie narzeczonej.

Poznał ją rok temu, kiedy był jeszcze elewem szkoły podoficerskiej 9 zapasowego pułku piechoty. Kilkogodzinne przepustki, które otrzymywał czasem w niedzielę, spędzał na ogół u Reginy. Przypadli sobie do gustu i w dniu promocji, czyli 14 grudnia 1944 roku, wyprawili zaręczyny. Bez pierścionka, ba, nawet bez kwiatów, ale za to ze skierowaniem na dowódcę drużyny, Matysek został uznany przez rodzinę Reginy za oficjalnego narzeczonego. Po tej uroczystości wyjechał do 5 pułku piechoty, stacjonującego na przedmieściach Warszawy, lecz po dwóch tygodniach skierowano go do Szkoły Oficerskiej 1 armii Wojska Polskiego w Mińsku Mazowieckim. Uczył się pilnie, przyswajał sobie niezbędną przyszłemu oficerowi wiedzę, nasłuchiwał wieści z frontu i odpisywał na częste listy narzeczonej. W przeddzień promocji, która odbyła się 1 maja 1945 roku, kolega — pisarz w kompanii podchorążych moździerzy — zapoznał go po kryjomu z opinią, jaką mu wystawili przełożeni: dowódca kompanii porucznik Broda i dowódca batalionu major Rudziński. Jeszcze dziś pamięta niektóre jej fragmenty: „Osiągnął dobre postępy w nauce. W sytuacjach taktycznych

orientuje się dobrze. Zdyscyplinowany. Politycznie uświadomiony. Oddany sprawie Rządu Tymczasowego RP. Inteligentny... Nadaje się na stanowisko dowódcy plutonu moździerzy”. Na świadectwie 9 „piątek” i tylko 4 „czwórki”. Ogólna ocena — „pięć”. Z dumą pokazywał Reginie świadectwo i gwiazdkę chorążego na środku białego paska biegnącego wzdłuż naramiennika.

Na front już nie zdążył.

Przez miesiąc przebywał w rezerwie oficerskiej 1 armii, aż w końcu wyprosił przydział do piątego — jak uzasadniał — „swojego” pułku, który w tym czasie stacjonował jeszcze na terenie Niemiec, w Disenchen. Nie były to łatwe początki. Zajęcia z plutonem „frontowych wyjadaczy”, patrzących na niego nonszalancko jako na tego, kto prochu nie wachał, a chce ich uczyć wojskowego rzemiosła, nie należały do przyjemności. Dopiero w sierpniu, gdy pilnowali granicy w rejonie Głubczyc i on sam przyprowadził dwóch po zęby uzbrojonych „wilkołaków”, spojrzeli na niego inaczej. Przyjęli jak swego. Uśmiechnął się mimo woli do tego wspomnienia i wyciągnął rękę w kierunku aparatu telefonicznego, który od dłuższej chwili pobrzękiwał.

— Oficer inspekcyjny piątego pułku, chorąży Matysek — przedstawił się nie znanemu jeszcze rozmówcy.

— Co, śpicie już? — poznał głos oficera operacyjnego sztabu dywizji.

— Nie, obywatelu kapitanie. Po prostu ogarnęły mnie wspomnienia.

— Dodacie do nich zaraz nowe. Notujcie. Do dowódcy Piątego Kołobrzeskiego Pułku Piechoty podpułkownika Jana Wantucha. Zgodnie z poleceniem dowódcy Okręgu Wojskowego Łódź z pierwszego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku piątemu pułkowi piechoty zmienia się rejon dyslokacji do miejscowości Hrubieszów z zadaniem bojowym zlikwidowania band i do specjalnego rozkazu podporządkowuje się go dowódcy Okręgu Wojskowego Lublin. Niepewnych politycznie żołnierzy i podoficerów przekazać szóstemu pułkowi piechoty. Szczegółowy rozkaz na piśmie zostanie dostarczony drugiego listopada. Podpisał dowódca Drugiej Warszawskiej Dywizji Piechoty imienia Jana Henryka Dąbrowskiego... Powodzenia — dodał prywatnie kapitan.

— Odmeldowuję się — machinalnie odpowiedział Matysek oszołomiony jeszcze treścią otrzymanego fonogramu.

Chwilę siedział bez ruchu wpatrzony w leżącą przed nim kartkę, wreszcie wyrwał go z zadumy głos szefa sztabu pułku, majora Aleksandra Fomina, który wszedł do pokoju w trakcie odbierania fonogramu i zaglądał mu cały czas przez ramię.

— Nu, szto tam, synek, pakażi — powiedział miękko, chociaż w pułku był znany z tego, iż zawsze w sposób regulaminowy zwracał się do podwładnych, a zwłaszcza do młodych oficerów.

Major przeczytał dwukrotnie treść fonogramu, pokwitował go i wyszedł.

Matysek zastanawiał się, co dalej robić. Powiadomić dowódcę? Nim zdołał podjąć decyzję, znowu zabrzączał polowy telefon:

— Mówi podpułkownik Wantuch. — Zanim usłyszał nazwisko, poznał głos dowódcy pułku. — Na godzinę szóstą zero zero zarządzam odprawę wszystkich oficerów.

Chorąży Matysek wiedział już, co ma robić. Sprawnie ruszyła alarmowa machina pułku. Do koszar, w których mieszkała część kadry, rozbiegli się gońcy, a do miasta, powiadomić pozostałą kadre, wyruszyły uzbrojone patrole. Zegar w pokoju oficera inspekcyjnego pułku odmierzał ostatnie godziny pobytu w Częstochowie.

Do przedziału, w którym pracował major Fomin, wszedł podporucznik Markefka z pęką teczką.

— Obywatel major chciał zobaczyć ewidencję oficerów pułku. Oto ona.

Szef sztabu skinieniem głowy podziękował Markefke, wziął teczkę do ręki i chwilę patrzył na starannie wykaligrafowany napis: „Ewidencja oficerów 5 pułku piechoty. Rozpoczęto dnia 29 sierpnia 1943 roku”. No tak, pomyślał, właśnie wtedy ukazał się pierwszy rozkaz dowódcy, podpułkownika Anatolija Szabelskiego, wyznaczający oficerów na określone stanowiska. On przybył do pułku trzynaście miesięcy później, gdy jednostka miała już za sobą pierwsze jakże tragiczne walki. Przeglądał wtedy spisy poleg-

łych i rannych. Dużo ich było, bardzo dużo. Cóż westchnął, tak ułożyły się frontowe losy pułku.

Po 11 miesiącach od rozpoczęcia formowania jednostka z dalekiego Konstantynowa nad Oką doszła do linii frontu nad środkową Wisłą, by z marszu przystąpić do działań bojowych. W niezmiernie trudnych i skomplikowanych warunkach terenowych i taktycznych odbywał się chrzest bojowy oddziału. Forsowanie Wisły niewielkimi pododdziałami nie mogło przynieść sukcesu. Przyniosło pierwszą przelaną krew, która zmieszała się z falami królów i rzek polskich. Obrona przyczółka warecko-magnuszewskiego, próba przyjscia z pomocą powstańcom Warszawy, to dalsze ofiary na wojennym szlaku, ale też dalsze karty chwały na bojowej drodze pułku. To nabieranie doświadczenia w walce z silnym, dobrze uzbrojonym i wyszkolonym nieprzyjacielem.

W kolejnych bojach żołnierze „piątego” coraz lepiej realizowali stawiane im zadania, wnosili znaczący wkład do ogólnego bilansu zmagania z agresorem. Walki na Wale Pomorskim, o Mirosławiec, Borujsk, udział w operacji okrążającej pod Świdwinem, bój o Wrzosowo i Dziwnówek są tego najlepszym przykładem. A potem wykonywali jedno z najważniejszych zadań wysuniętych w Manifeście PKWN – przywracali Polsce jej prastare ziemie nad Bałtykiem i Odrą. Symbolem pełnego poświęcenia zaangażowania w realizację tego zaszczytnego celu są nie tylko żołnierskie mogiły na bojowym szlaku przez Pomorze Zachodnie, ale także jedno z pierwszych zaślubin

z Bałtykiem — żołnierskie przyjęcie tych ziem pod skrzydła Orła Białego.

Do ostatniej wojennej operacji, zakończonej nad Łabą, wyruszyli z okolic, w których niemal tysiąc lat temu (Cedynia 972 rok) wojowie Mieszka I zadali klęskę rycerstwu niemieckiemu margrabiów Hodona i Zygryda idącemu na podbój Pomorza. I tu, w bliskiej od siebie odległości, spoczywają prochy tych, co polegli przed laty broniąc dostępu do polskiej ziemi, i tych, którzy tę ziemię Polsce przywrócili. Najbardziej znaczące, bezcenne to słupy graniczne polskiego państwa.

Po zakończonej wojnie z Niemcami żołnierze pułku nie przeszli do pokojowej służby. Ochrona granicy, gdzie często trzeba było używać broni, usuwanie min i niewybuchów na terenie powiatu głubczyckiego — to pierwsze miesiące służby na terytorium własnego kraju.

Fomin zamyślił się. Może i dobrze, że wyjechaliśmy z Częstochowy. Te dwa miesiące, które tam spędziliśmy, nie były usłane różami. Zakwaterowanie w barakach byłego obozu jenieckiego, gdzie przeciekały dachy, brakowało urządzeń sanitarnohigienicznych, nie było stałej kuchni i jadalni, świeżych jarzyn, bielizny i urządzeń dezynfekcyjnych, wpłynęły fatalnie na morale żołnierzy. Zaczęła szwankować dyscyplina. Ale gdy trzeba było przekazać 6 pułkowi niepewnych politycznie żołnierzy, dowództwo pułku postanowiło oddać tylko tych, którzy nie mieli żadnego przeszkolenia wojskowego.

Tak, to była słuszna decyzja, pomyślał Fomin i zabrał się do przeglądania ewidencji oficerów.

Powoli przekładał poszczególne karty i aż sam się zdziwił, jak niewiele mówią zarejestrowane w nich suche fakty. Prawie do każdego nazwiska mógł dorzucić coś od siebie. Major Borys Ojchman, zastępca dowódcy pułku do spraw liniowych, zawodowy oficer Armii Czerwonej, tak jak on odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, do pułku przybył przed dziesięcioma dniami. Porucznik Mikołaj Kotwicki, oficer do spraw operacyjnych, ukończył szkołę podoficerską w batalionie szkolnym dywizji, a w maju 1944 roku zdał eksternistyczny egzamin oficerski; to Fomin dostrzegł jego zalety „operatora” i ściągnął do sztabu. Porucznik Wojciech Jaruzelski, w pułku od grudnia 1943 roku, po ukończeniu rzymskiej szkoły oficerskiej; ponad rok w zwiadzie, a od ponad pół roku jego pomocnik do spraw rozpoznania, odznaczony Krzyżem Walecznych za czyny bojowe na froncie. Kapitan Jerzy Artychowicz, urodzony w Kałudze, inżynier-górnik polskiego pochodzenia, ożeniony z Polką — Janiną, kawaler Krzyża Walecznych, od miesiąca szef artylerii pułku. Kapitan Eugeniusz Apanasiewicz, dowódca 1 batalionu piechoty, skończył kurs dowódców batalionów w Wyższej Szkole Oficerskiej w Rembertowie. Major Emil Sulima-Zawisza, dowódca 2 batalionu piechoty, przedwojenny oficer, jeniec oflagu, lubi wypić i wtedy opowiada, że jego ród wywodzi się w prostej linii od Zawiszy Czarnego. Kapitan Adam Pęski, zawodowy oficer

przedwojenny, uczestnik wojny 1939 roku, przebywał w oflagu, do pułku dotarł zaledwie przed dwoma tygodniami i objął dowództwo 3 batalionu piechoty.

Fomin zamknął teczkę i westchnął ciężko. Niczego nowego się nie dowiedział. Zapiski te znał już od dawna, ale za nimi kryją się przecież żywi ludzie, którzy muszą wykonać jeszcze jedno, kolejne zadanie bojowe. Czy sprawdzą się w nowej formie walki, czy zdołają pokonać zupełnie innego niż na froncie przeciwnika? Ze strzępów wiadomości, które otrzymali już w drodze, wynika, że w Hrubieszowskiem jest nie tylko podziemie ukraińskie, ale i polskie. Jak wobec tych ludzi zachowają się żołnierze? Przecież w 5 pułku są i tacy, którzy pochodzą z Lubelszczyzny. A to oznacza, że w walce może zetknąć się kolega z kolegą, a nawet brat z bratem. Podobne pytania i wątpliwości męczyły majora Fomina przez całą drogę.

Był już późny ranek 11 listopada, gdy pierwszy transport żołnierzy 5 pułku wtaczał się na stację w Zamościu.

OTWARCIE „W CIEMNO”

Z chrzęstem niesionej broni, ze zgrzytem ciągniętych armat i moździerzy pokonywał pułk marszem ubezpieczonym drogę z Zamościa do Hrubieszowa. Gdy się patrzyło na rozciągniętą na trasie kolumnę, widać było dopiero, jak groźna to była siła. 202 ofi-

cerów, 646 podoficerów i 759 szeregowców. Razem 1607 ludzi, w większości mających za sobą doświadczenia walk frontowych. Jego uzbrojenie (jeszcze nie uzupełnione po stratach wojennych) to 21 moździerzy 82 mm, 7 moździerzy 120 mm, 1 działo pułkowe 76 mm, 6 armat przeciwpancernych 45 mm, 30 rusznic przeciwpancernych, 21 ciężkich karabinów maszynowych, 27 ręcznych karabinów maszynowych, 391 pistoletów maszynowych PPSz i 774 karabiny. Gorzej było z transportem. Tylko 7 ciężarowych *Studebakerów* w baterii moździerzy, *Willys* dowódcy pułku i 234 konie.

Właśnie sprawa transportu nie dawała spokoju dowódcy pułku, podpułkownikowi Wantuchowi. Zadanie bojowe postawione przez dowódcę Okręgu Wojskowego Lublin generała dywizji Wojciecha Bewziuka jeszcze w trakcie przebazowywania oddziału było bardzo rozległe. Głównym celem miało być ściganie i niszczenie oddziałów zbrojnego podziemia w Hrubieszowskim, ścisła kontrola dróg Hrubieszów — Chełm i Hrubieszów — Zamość oraz ochrona granicy państwowej na odcinku od Horodła do Hołubia (chodziło o uniemożliwienie przejścia przez granicę oddziałów zbrojnego podziemia). Ponadto pułk miał zorganizować grupy szturmowe i w celu zwiększenia ich manewrowości trzeba było zapewnić im furmanki i samochody. W terenie mogły poruszać się grupy liczące co najmniej 30 żołnierzy pod dowództwem oficera. I jak to wszystko zorganizować przy takim braku środków transportowych, zastanawiał się podpułkownik Wantuch.

Jeszcze w czasie drogi dowódca pułku omawiał z majorem Fominem sprawy dotyczące realizacji zadania bojowego. Niestety, mogli jedynie rozważyć kwestie ogólne i nakreślić ramowy plan, gdyż nie znali nawet terenów przyszłych działań. Poniemiecka mapa, którą porucznik Kotwicki zdobył gdzieś w Częstochowie, niewiele mogła im pomóc. Nie byli w stanie zaznaczyć na niej dokładnie nawet polsko-radzieckiej granicy, nie mówiąc już o rozgraniczeniu powiatów. Postanowili więc poczekać z tym do chwili przybycia do Hrubieszowa. Jedno tylko z mapy wynikało niezbicie: rozległość terenu działania pułku — ochrona ponad sześćdziesięciokilometrowego odcinka granicy i pięćdziesięciokilometrowe odcinki patrolowania szos wiodących do Chełma i Zamościa.

Ilekróć Wantuch w czasie drogi spoglądał na mapę, twarz mu pochmurniała, a z ust wydobywały się niezbyt parlamentarne słowa. Ci z oficerów, którzy poznali go już bliżej, wiedzieli, że musi przeżywać poważne rozterki wewnętrzne, gdyż nie był przyzwyczajony do realizacji jakiegokolwiek zamierzenia bojowego bez podstawowych wiadomości o przeciwniku. A tych dowództwo Okręgu Wojskowego Lublin nie przekazało żadnych. Z niecierpliwością przeto czekał na przybycie do Hrubieszowa, aby od tamtejszych władz bezpieczeństwa dowiedzieć się czegoś bliższego o terenie przyszłego działania i o przeciwniku.

W gabinecie dowódcy pułku panowało ciężkie milczenie. Zaledwie przed dwoma godzinami zajęli koszary w Hrubieszowie przy ulicy Dwernickiego. Studebakery pod ochroną plutonu zwiadu pieszego pojechały z powrotem do Zamościa po resztę sprzętu, przeważnie kwatermistrzowskiego, którego z powodu braku transportu nie zdołano zabrać z pierwszym rzutem. Żołnierze rozlokowali się w wyznaczonych im pomieszczeniach, klnąc poprzedników za pozostawiony brud i bałagan. Wantuch z Fominem, którzy obejrzelili teren koszar, podziwiając jego rozległość i architekturę budynków wzniesionych w początkach XX wieku, siedzieli teraz w milczeniu w gabinecie dowódcy. Czekali na powrót poruczników: Kotwickiego i Jaruzelskiego, którzy udali się do komendy MO i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, aby uzyskać bliższe dane na temat terenu ich działania i operującego na nim przeciwnika. Fomin z uporem wpatrywał się w mapę rozłożoną na dużym krawieckim stole, a Wantuch obserwował przez okno sylwetkę wartownika strażnicy WOP, znajdującej się około 300 m od sztabu. Zmarszczył brwi. Po co pułk ma ochraniać granicę, skoro jest tu strażnica WOP? Już miał podzielić się swoim spostrzeżeniem z Fominem, gdy rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęli dwaj oczekiwani oficerowie. Byli w polowych, przyniszczonych, lecz czystych mundurach. Stuknęli energicznie obcasami.

— Meldujcie, coście ustalili — niecierpliwit się Wantuch.

Podeszli do rozłożonej na stole mapy. Porucznik Kotwicki wziął do ręki ołówek i zaczął referować, pokazując jednocześnie na mapie wymieniane miejscowości.

— Teren naszego działania wygląda następująco: północną granicę wyznaczają gminy Dubienka i Białopole, zachodnią gminy Grabawiec, Miączyn, Tyśzowce, południową miejscowości Nowosiółki, Przewodów, Budynin, Bełz, Krystynopol i wschodnią Bug. A zatem jest to obszar, którego długość liczona z północy na południe wynosi — Kotwicki zajrzał do notatek — ponad dziewięćdziesiąt kilometrów, a szerokość około czterdziestu kilometrów. Jest to teren pofałdowany, ze sporą liczbą większych lub mniejszych kompleksów leśnych, w których przeważają drzewa liściaste, z poszyciem nadającym się do prowadzenia działań partyzanckich. Granica od strony polskiej w zasadzie jest nie strzeżona. Dopiero zaczęto tworzyć Wojska Ochrony Pogranicza. W Hrubieszowie istnieje komenda trzydziestego drugiego odcinka WOP, która nie ma jeszcze strażnic i nad granicę tylko sporadycznie wysyła patrole. Skoro już jestem przy Hrubieszowie, to pozwolę sobie zameldować, że oprócz Powiatowej Komendy MO i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, które nie dysponują odpowiednią liczbą ludzi do penetracji terenu, znajduje się tu również radziecka jednostka specjalna, licząca około dwustu dobrze uzbrojonych ludzi i mająca nawet dwie rozpoznawcze tankietki. Została ona tutaj róż-

mieszczona czasowo, na mocy porozumienia rządów Polski i ZSRR, w celu udzielania pomocy przy przesiedlaniu ludności ukraińskiej. Podobno mają rozkazy, aby do wewnętrznych spraw Polaków się nie wtrącać, chyba że będą zaczepieni przez bandy. Natomiast już kilkakrotnie dochodziło do starcia między nimi a bandami ukraińskimi. Sądzę, że należałoby nawiązać z nimi ściślejszy kontakt.

— A jak się przedstawia sprawa podziemia zbrojnego? — Wantuch, jak zauważyli obecni, nie używał słowa „bandy”.

— Ani milicja ani służba bezpieczeństwa nie znają dokładnie siły zbrojnego podziemia na terenie powiatu. — Porucznik Kotwicki starał się na pytanie przełożonego odpowiedzieć krótko i precyzyjnie. — Wiedzą tylko, że na północ od Hrubieszowa działają grupy WiN, które oprócz urządzania zasadzek na pojedyncze samochody, ściągania kontrybucji i rozbijania żołnierzy oraz milicjantów większych akcji nie przeprowadzają. Funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i osoby, na które mają wyroki śmierci, bez pardonu zabijają. Natomiast cała południowa część powiatu opanowana jest przez Ukraińską Powstańczą Armię. To ona kontroluje te tereny. Przykładem mogą być stoczone ostatnio liczne potyczki z pododdziałami Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego ochraniającymi grupy kontyngentowe. Między innymi pierwszego listopada grupa operacyjna porucznika Józefa Lipińskiego stoczyła walkę we wsi Wereszyn, czyli około dwudzie-

stu pięciu kilometrów na południe od Hrubieszowa — porucznik Kotwicki pokazał na mapie. — Zginął jeden oficer i pięciu szeregowych. Prawdopodobnie dzisiaj przed południem jakiś pododdział KBW stoczył również potyczkę w okolicach Czerniczyna, czyli siedem kilometrów na południe od Hrubieszowa. Bliższych szczegółów brak.

Podpułkownik Wantuch zaklął pod nosem. To prawie pod bokiem jego pułku i jakby na przywitanie.

— Ale jakimi siłami rozporządza ta ukraińska armia?

— Tego na razie nikt nie wie. Będziemy musieli sami je dokładnie rozpoznać.

— Majorze Fomin, w ciągu trzech dni, a więc najpóźniej siedemnastego listopada wieczorem, przedstawicie mi ocenę zbrojnego podziemia i propozycje użycia przeciwko niemu pułku. Zorganizujecie stałą łączność z milicją, bezpieczeństwem, wojskami pogranicza i jednostką radziecką. Odpowiedzialny za współdziałanie z Rosjanami i w ogóle za uzgadnianie wspólnych akcji będzie porucznik Kotwicki a w razie jego nieobecności porucznik Jaruzelski. Jutro rano w kierunku Czerniczyna wyruszy kompania fizylierów. Niech się trochę zorientują w terenie, a przy okazji sprawdzą dzisiejszą wiadomość o stoczonej walce. Aha, a jak się, majorze, urządziliście? — Pułkownik przypomniał sobie, że z Fominem do Hrubieszowa przyjechała jego żona, czarnooka

Ukrainka, którą major poznał po wyzwoleniu obozu w Oranienburgu pół roku temu.

— Zgodnie z poleceniem obywatela pułkownika oficerowie z rodzinami zakwaterowali się na terenie koszar. Warunki nie najlepsze, ale wytrzymamy.

Kompania fizylierów, minąwszy Hrubieszów, wspinała się na Górę Tatarską, by prawie na jej szczycie skręcić w lewo, na południe. Kilkaset metrów przed nią posuwało się ubezpieczenie czołowe w sile drużyny dowodzonej przez kaprała Tadeusza Ziółkowskiego, rodem z Chełmna, który do 5 pułku trafił przed sześcioma tygodniami. Jakież było jego zdziwienie i radość zarazem, gdy w kompanii spotkał kolegę z Karoliny w powiecie tureckim — Janka Janika. Obaj przegadali niejedną wolną godzinę, wspominając czasy okupacji, gdy Tadek trafił do Karoliny po wysiedleniu jego rodziny z Chełmna.

Teraz Ziółkowski, prowadząc swoją drużynę bokami szosy, rozglądał się ciekawie po okolicy. Jakże różniła się ona od ziemi chełmińskiej i od powiatu tureckiego. Dużo fałd terenowych, ale ziemia urodzajna. Niepokoiły go te fałdy terenowe. Przecież za każdą z nich mógł być nieprzyjaciel, mógł wzdłuż nich przemieszczać się skrycie i w każdej chwili atakować.

Minęli jakieś zburzone zabudowania, gdy od dowódcy kompanii przybiegł goniec:

— Obywatelu kapralu, porucznik kazali uważać, bo zbliżamy się do Czerniczyna.

Ziółkowski obejrzał się. Jakieś czterysta metrów za nim szły plutony jego kompanii. Razem z prowadzoną przez niego drużyną 65 ludzi z 57 pistoletami maszynowymi typu PPSz. To duża siła ognia. Poczut się raźniej. Rozglądając się dookoła, nagle zdał sobie sprawę, że czegoś mu w tym pejzażu brakuje. Czego? No tak, od dobrych pięciu kilometrów nie spotkali ani jednego człowieka i ani jednego całego zabudowania. Dlatego też, kiedy z kolejnego wzniesienia dostrzegł budynki i unoszące się z nich strużki dymów, poczuł ulgę. Strasznie rozrzucona ta wieś, pomyślał i wydał komendę:

— Zwiększyć odstępy, broń w pogotowiu.

Postacie żołnierzy pochyliły się nieco, a lufy popularnych pepeszek czujnie omiatały każdy krzaczek.

Zbliżali się do stojącego na skraju wsi domu. Wyjrzał z niego jakiś mężczyzna, postać chwilę i schował się z powrotem. Co mamy robić? Wejść do chałupy? Kontrolować? Ziółkowski nie wiedział, jak ma się zachować. Obejrzał się. Kompanii nie było widać. Musi być akurat w niecce terenowej, pomyślał. No cóż, idziemy dalej.

Dochodzili do następnych zabudowań, gdy gdzieś z boku zajazgotał karabin maszynowy. Nerwowo. Pociski uderzyły przed nimi w zoraną ziemię. Jeszcze nie przebrzmiała seria, gdy żołnierze zalegli w przydrożnym rowie. Ziółkowski rozglądał się bacznie. Skąd strzelają? Chyba z budynków oddalo-

nych jakieś 200 metrów od niego. Na lewo widniała lizjera lasu. Z tyłu kompania rozwijała się w tyralierę.

Ziółkowski czekał, aż kompania podejdzie do niego. Między zabudowaniami zaczął się ruch. Biegali mężczyźni, ale nikt nie strzelał. On też nie dawał rozkazu otwarcia ognia.

Kompania podchodziła powoli, w milczeniu. Tylko dłonie mocniej ścisnęły broń. Trzeba podejść bliżej, wtedy ogień z pepeszek jest skuteczny. I trzeba widzieć przeciwnika.

Gdzieś ze środka wsi odezwał się erkaem. Niemrawo, jakby bojaźliwie. Dowódca się zdecydował. Podniósł w górę rękę, machnął nią energicznie i ruszył szybko do przodu. Za nim poszli żołnierze. Teraz ogień nieprzyjaciela stał się gęściejszy. Na szczęście był niecelny. Kiedy kompania dotarła do centrum wioski, nie było z kim walczyć. Dokoła panowała martwa cisza.

Dowódcy plutonów sprawdzili stan pododdziałów. Nikt nie zginął, nikt nie został ranny. I to był sukces tym większy, że zdołano uwolnić żołnierzy z 10 batalionu operacyjnego KBW, którzy dnia poprzedniego zostali schwytani przez upowców i czekali na rozstrzelanie.

Nowy rozdział kolejnego zadania bojowego 5 pułku został otwarty prawie w samo południe 15 listopada 1945 roku.

W POŚCIGU ZA „ZIRKĄ”

Minął miesiąc od chwili, gdy 5 pułk po raz pierwszy wszedł w kontakt ogniowy z upowcami. Droga na Czerniczyn, Mircze, Dołhobyczów sunął wolno kołyszący się na wybojach *Studebaker*. W szoferce obok kierowcy siedział podpułkownik Wantuch, z tyłu major Ojchman, porucznik Kotwicki, porucznik Jaruzelski i 18 żołnierzy — pluton zwiadu pieszego. Na daszku szoferki, przytrzymywany przez obsługę, z taśmą amunicyjną wprowadzoną do komory nabojowej, sterczał *Maxim*. Jechali do Wareża, gdzie dowódca pułku zarządził odprawę dowódców batalionów.

Podpułkownik Wantuch, który jako zapalony myśliwy niejednokrotnie zapuszczał się w okolice Czerniczyna i Modryńca, teraz, obserwując znajome już pola i lasy, oceniał dokonania minionego miesiąca. Przez kilka pierwszych dni pobytu w Hrubieszowie oficerowie sztabu zbierali, skąd się dało, wiadomości o przeciwniku. Mimo ich wysiłków nadal mieli bardzo ogólny obraz zbrojnego podziemia. Na szczegóły będą musieli jeszcze poczekać.

Diabelnie trudno dokładnie rozpoznać doskonale zorganizowanego i zakonspirowanego przeciwnika, szczególnie siły upowców, doszedł do wniosku dowódca pułku. Czoty i sotnie mają niezawodny system łączności i wywiad, poza tym unikają walki z wojskiem, jeśli nie są przekonane o przytłaczającej przewadze. Poruszają się szybko na lekkich wozach,

pokonują zdawałoby się nieprzejezdne tereny. Często po akcji znikają nagle i trudno nawet natrafić na ich ślad. W ciągu tych pierwszych dni zdołano jednak ustalić, że najbardziej zagrożone tereny to rejon pomiędzy Czerniczynem, Terebinem i Modryńcem, pomiędzy Wereszynem, Hołubiem, Tudorkowicami i Dołhobyczowem oraz pomiędzy Warężem, Szmitkowem, Bełzem i Przewodowem. Zaczęto więc wysyłać codziennie wzmocnione kompanie piechoty do rejonu Czerniczyna oraz Terebina i to spowodowało, że ukrywające się grupy opuściły te okolice i przeniosły się dalej, na południe. Pozwoliło to już 20 listopada wysłać 1 batalion piechoty z plutonem armat 45 mm do Hołubia (30 km od Hrubieszowa) w celu założenia tam garnizonu. Cztery dni później drugi batalion piechoty z plutonem armat 45 mm, wzmocniony kompanią fizylierów podporucznika Mariana Fleminga, założył stały garnizon w Warężu (45 km od Hrubieszowa). Bataliony te miały ze sobą współpracować w zwalczaniu zbrojnego podziemia i okazywać pomoc w przesiedlaniu ludności ukraińskiej. Pododdziały specjalne pułku, czyli artyleria, moździerz, łączność, kwatermistrzostwo, oraz 3 batalion piechoty stanowiły garnizon Hrubieszowa. Sformowano z nich trzy plutony wypadowe, które na czas akcji miały otrzymać transport samochodowy z miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa. Na nich spadł również obowiązek patrolowania dróg do Chełma i Zamościa.

Rozmyślenia podpułkownika Wantucha przerwał

terkot cekaemu na dachu szoferki. Major Ojchman, przechylając się przez burtę samochodu, starał się przekrzywić hałas silnika:

— Dwóch jezdnych z bronią uciekało do lasu w kierunku Kryłowa.

— I co?

— Uciekli.

Jak do tej pory pułk nie mógł poszczycić się znaczącymi wynikami w walce z upowcami, podpułkownik wrócił do swoich rozważań. Kilku zatrzymanych z bronią lub podejrzanych o współpracę z podziemiem odesłano do UB. Jeden z nich zdecydował się wskazać schron z bronią i umundurowaniem. Gdy przybyli na miejsce, wyrwał funkcjonariuszowi UB granat zza pasa i rzucił sobie pod nogi. On zgiął, a siedmiu z eskorty odniosło rany. Tak, trudna będzie z nimi rozgrywka, tym bardziej że bataliony po demobilizacji przeprowadzonej kilka dni temu liczą przeciętnie po 200 żołnierzy. Zima, a brak około 150 płaszczy i około 300 par obuwia. Kończą się baterie do radiostacji, a bez nich nie będzie żadnej łączności z pododdziałami przebywającymi w terenie. W drugim batalionie majora Zawiszy w Warężu zaczyna szwankować dyscyplina. Brak sukcesów w walce wpływa ujemnie na morale żołnierzy. Chyba trzeba będzie go wymienić, dowódca pułku nie był jeszcze pewien, czy chodzi o dowódcę, czy o cały batalion.

Podpułkownik Wantuch wrócił myślami do swego pisma z 20 listopada skierowanego do generała Bew-

ziuka. Dokonał w nim oceny bezpieczeństwa powiatu oraz przedstawił własne propozycje. Doszedłszy do wniosku, że podjęte środki nie gwarantują pełnej możliwości wykonania zadania bojowego, zaproponował dowódcy OW Lublin, aby skierował na ten teren jeszcze dwa bataliony piechoty, które zostałyby rozmieszczone w garnizonach Mircze i Bełz. W ten sposób w rejonach najbardziej zagrożonych przez zbrojne podziemie powstałaby gęsta sieć wojskowych garnizonów. Widział też inną możliwość. Było nią skierowanie do Hrubieszowa silnego oddziału zmotoryzowanego, który w krótkim czasie mógłby docierać nawet w najbardziej niedostępne rejony powiatu. Jak do tej pory żadna z propozycji nie została uwzględniona. Trzeba sobie radzić samemu, westchnął i wysiadł z samochodu, który zatrzymał się właśnie na niewielkim placu w Warężu.

Podporucznik Fleming wyjrzał przez okno swojej kwatery w Warężu. Za godzinę zacznie się ściemniać, pomyślał. Dwie godziny temu skończyła się odprawa, więc chyba przełożeni zdążyli już dojechać do Hrubieszowa i Hołubia. Zapukano do drzwi. Wszedł goniec od dowódcy batalionu:

— Obywatelu poruczniku, obywatel major wzywa natychmiast do siebie.

Fleming założył płaszcz, zapiął pas z pistoletem i mapnik, wcisnął na głowę rogatywkę. Coś się musia-

ło stać. Major Zawisza nigdy nie wzywał oficerów bez potrzeby.

— Poruczniku Fleming — zaczął dowódca batalionu, nie czekając nawet, aż wchodzący się zamelduje. — W Dołhobyczowie został raniony dowódca pierwszego batalionu, kapitan Apanasiewicz, oraz dwaj żołnierze. Prawdopodobnie jeszcze tam są. Weźmiecie piętnastu ludzi na ochotnika, dostaniecie cekaem z obsługą, wszystko to wsadzicie na furmanki i jak najszybciej do Dołhobyczowa. Wykonać!

Fleming wyszedł. Nie zdążył się nawet spytać, w jaki sposób został raniony Apanasiewicz. Pewnie napad, pomyślał. Kiedy znalazł się na dworze, z niepokojem spojrzął na ciemne, grudniowe niebo. Zaraz zapadnie noc, zasępił się. Do Dołhobyczowa dobre 9 kilometrów, a w okolicy roi się od uzbrojonych grup. Ładnie będę wyglądał, jak mnie jakaś sotnia czy czota dopadnie.

Zarządził zbiórkę kompanii. Ochotników było znacznie więcej, niż polecił zabrać dowódca batalionu. Może wziąć wszystkich, przemknęło mu przez głowę, ale szybko tę pokusę odrzucił. Piętnastu to piętnastu, stwierdził. Wybrał najpewniejszych, chociaż pewny był wszystkich. Wśród ochotników znaleźli się Ziółkowski i Janik oraz jego zastępca chorąży Michał Tarnogrodzki. Wsiedli na furmanki. Woźnice ostro zacięli konie. W szybkim tempie dojechali do na pół spalonego Oszczowa. Tu Fleming polecił zwolnić, spieszył swój oddział i marszem ubezpieczonym posuwali się w kierunku Dołhoby-

czowa. Jedynie cekaem z obsługą pozostał na furmance.

Ostrożnie podchodzili pod ostatnie przed Dołhobyczowem wzniesienie. Prawie już na skraju wsi. Przeskoczyli je szybko i dostrzegli w dole, wśród drzew, kontury cerkwi i nieco dalej kościoła. Znów szli wolno, ostrożnie. Przed nimi rysowały się gęste zabudowania, jakieś 300 metrów dalej skrzyżowanie dróg, a przy nim karczma, w której, według słów majora Zawiszy, miał się schronić ranny kapitan Apanasiewicz.

Ogień dostali nagle, z przodu i z boku. Nim Fleming zdążył wydać komendę, żołnierzy obok szosy już nie było. Ostrzeżany żołnierz, wyborowy, pomyślał z dumą. Sam w pierwszej chwili wykonał skok w kierunku płotu. Sztachety pękły pod jego ciężarem i teraz leżał wśród zeschniętych badyli przydomowego ogródka. Przeciwnika nie było widać. Jedynie ogienki wystrzałów, pojawiające się w różnych miejscach, świadczyły o tym, że bój trwa. Odezwał się cekaem. Chorąży Tarnogrodzki, wykorzystując jego ogień, który przyciszył na chwilę zaskoczonych upowców, krzyknął, jak mógł najgłośniej:

— Pierwsza kompania kierunek w lewo... Trzecia kompania na wprost... Rozwinąć moździerz...

Żołnierze zrozumieli, o co chodzi. Wzmogli ogień i w milczeniu, skokami, przesuwali się do przodu. Nieprzyjaciel umilkł. Dotarli do karczmy, ale nie było w niej ani Apanasiewicza, ani jego żołnierzy.

Fleming opejrzął budynek. Solidny, murowany,

stwierdził. Można się w nim bronić. Wraz z Tarnogrodzkim rozstawili ludzi przy oknach i drzwiach i przykazali im, by oszczędzali amunicję, gdyż mieli już zaledwie po bębnie na pepeszę. Granaty mogli użyć wyłącznie na jego bądź zastępcy rozkaz.

— Niewesoło z nami będzie, jeśli mocniej przycisną — Fleming zwrócił się do Tarnogrodzkiego. — Ta cisza mnie niepokoi. Co oni szykują? Będą szturmowali czy nie?

— Cała nadzieja w tym, że pewnie nie wiedzą, z jaką siłą mają do czynienia — uprzedził jego myśli Tarnogrodzki.

— Dziękuję ci, Michale, za te dwie kompanie i moździerz na początku walki. — Fleming roześmiał się mimo woli. — To był udany fortel.

W napięciu mijały kolejne godziny oczekiwania. Powoli, z trudem pokonując ciemności nocy, wstawał świt. W pewnej chwili Ziółkowski i Janik, którzy czuwali przy jednym z okien, dostrzegli między zabudowaniami jakąś postać.

— Powiadom dowódcę — szepnął Ziółkowski do kolegi, odciągając zamek pepeszy.

— Nie strzelać! — Fleming był już przy nich.

Tymczasem postać, aczkolwiek bardzo ostrożnie, zbliżała się do budynku. Tkwiący przy oknie żołnierze patrzyli zdumieni. Człowiek, który zbliżał się do nich, był nagi.

— Stój! — krzyknął Fleming. — Ktoś ty!

— Plutonowy... — Nie dosłyszeli nazwiska. — Z pierwszego batalionu.

Po chwili stał przed nimi trzęsący się z zimna, mocno posiwiał żołnierz. Natychmiast okryli go płaszczem.

— Skąd się tu wziąłeś w takim stanie? — Fleming nie odrywał wzroku od znanego mu z widzenia człowieka.

— Wracaliśmy wczoraj z kapitanem Apanasiewiczem z Waręża. W Dołhobyczowie nas ostrzelano i okrążono. Kapitan, choć ranny, zdołał z kilkoma żołnierzami się przebić, a ja dostałem kolbę w głowę i straciłem przytomność. Ocknąłem się o zmroku w jakiejś chacie. Polecono mi, abym rozebrał się do naga, i zabrano umundurowanie. Z rozmowy, którą ludzie ci prowadzili w mojej obecności, zorientowałem się, że należą do sotni „Zirki” i mają mnie rozwalić. Po chwili we wsi wybuchła strzelanina, upowcy wybiegli, a ja korzystając z zamieszania skryłem się w stogu siana. Siedziałem tam do tej pory. Nigdy wam tego nie zapomnę, koledzy, że uratowaliście mnie od śmierci. — W oczach posiwiątego żołnierza pokazały się łzy.

Słuchającym również zaszklity się oczy, mocniej zacisnęli zęby, ktoś zaklął półgłosem. Stare wiarusy, z niejednego pieca chleb jedli, a wrażliwi na krzywdę ludzką, pomyślał Fleming.

W gabinecie szefa sztabu pułku zabręczał telefon polowy. Major Fomin, przeglądający meldunki do-

wódców batalionów z ostatnich dni, sięgnął po słuchawkę:

— Gwardii major Fomin — zawsze podkreślał swoje „gwardyjskie pochodzenie”.

— Zdieś Prokopienko.

Fomin poznał głos szefa sztabu radzieckiego batalionu specjalnego i chwycił ołówek, wiedząc, że Prokopienko dzwoni tylko wtedy, gdy ma do przekazania coś konkretnego. Tak było i tym razem. Okazało się, że jego patrol zdołał rozpoznać w rejonie wsi Mieniany oddział upowców w sile około 70 ludzi. Z batalionu miał być niebawem wysłany w tym samym kierunku pododdział pościgowy i Prokopienko chciał wiedzieć, czy piąty pułk też skieruje tam swoich żołnierzy. Zarówno ta informacja, jak i pytanie nie były tylko czczą formalnością. Zdarzało się bowiem coraz częściej, że upowcy występowali w mundurach rosyjskich lub polskich, wprowadzając w błąd jedną i drugą stronę, co mogło skończyć się tragicznie.

Major Fomin zatroskał się tą wiadomością. Rano dowódca 3 batalionu piechoty kapitan Pęski meldował z Waręża, że wysła transport ze zbożem do Hrubieszowa. Co za dziwna zbieżność między tymi dwoma informacjami? No tak, łączność podziemna ma dobrą, chociaż bez radiostacji i sieci telefonicznej. Wystarczają konie i dobra znajomość terenu, aby uprzedzić kogo trzeba o ruchu wojska. Przypomniał sobie wypadek sprzed dziewięciu dni, kiedy to 8 żołnierzy z 1 batalionu wybrało się z Hołubia w

stronę Uhrynowa po siano. W drodze powrotnej, dwa kilometry przed Hołubiem, wpadli w zasadzkę. Walka trwała krótko i kosztowała życie 6 żołnierzy. Pomoc przybyła szybko. Zastali jeszcze gorące łuski i nie ostygłe ciała poległych i ograbionych z mundurów oraz broni żołnierzy. Po bandzie ani śladu. Podobno „Zirka”.

Fomin spojrzał na zegarek, solidną „cebule”. Dochodzi piętnasta. Przecież dziś Sylwester. Wieczorem mieli urządzać skromne przyjęcie, aby powitać Nowy Rok. Żeby już ten transport przybył do Hrubieszowa, pomyślał, inaczej Anna Konstantinowna i małżonki innych oficerów miały smutnego Sylwestra.

Polecił oficerowi inspekcyjnemu podporucznikowi Flemingowi, aby zadzwonił do Urzędu Bezpieczeństwa i dowództwa radzieckiego batalionu z prośbą o informacje na temat transportu. Oni siedzą bliżej drogi na Czerniczyn, więc powinni ich wkrótce zobaczyć, uspokajał się w myśli. A swoją drogą, dopóki trwa akcja przesiedleńcza, nie przebiegająca łatwo, zupełnego spokoju na tych ziemiach na pewno nie będzie.

Za oknami rozległ się warkot silnika. Ucichł przed sztabem. Po chwili na korytarzu dały się słyszeć szybkie kroki i do pokoju wpadł podpułkownik Wantuch. Na jego twarzy widać było wzburzenie.

— Rozbili naszych pod Czerniczynem — wychrypiał. — Wpadli w zasadzkę. Pierwszą część transportu upowcy ostrzelali silnym ogniem broni maszyno-

wej. Eskorta została zmuszona do porzucenia furmanek i wycofania się w kierunku Hrubieszowa. Drugą część okrążyli i podobno rozbili. Ojchman zaraz wyrusza na czele kompanii alarmowej. Ale czy to wystarczy?

— Rosjanie wysłali w tamtym kierunku silny pododdział. — Fomin przypomniał sobie rozmowę z Prokopienką.

— Uprzedźcie ich o naszym działaniu i o tym, co się stało w Czerniczynie — uspokoił się nieco Wantuch.

Szósta kompania piechoty na dwóch samochodach podstawionych przez Urząd Bezpieczeństwa gnała na pełnym gazie w kierunku Czerniczyna. Rosjanie obiecali, że drogą radiową skierują tam pododdział dochodzący właśnie do Czumowa. Weźmiemy ich z dwóch stron, pomyślał major Ojchman, sprawdzając zamocowanie bębna pepeszy, z którą zawsze jeździł na akcje. O ile jeszcze przeciwnik tam będzie, przyszło nagłe zwątpienie.

Na skraju Czerniczyna kierowcy zatrzymali samochody. Błyskawicznie rozwinięta tyraliera ruszyła przez wieś. Pięćdziesięciu ludzi, trzy erkaemy. Pomimo to parli śmiało do przodu, jakby za nimi szło co najmniej trzy razy tyle. Gwałtownie zagdakały erkaemy upowców. Zawtórowały im steny, bergmany, pepesze. Pacnął granat moździerzowy. Ale siła ognia! Ojchman zastanawiał się, co dalej robić. Żołnie-

rze z eskorty twierdzili, że nieprzyjaciół były ze dwie setki. Pobity zawsze przesadza, major wiedział o tym od dawna, ale setka to będzie. Sami nie mamy rady ukrytemu przeciwnikowi, stwierdził. Szkoda ludzi.

— Podać po linii! Wycofujemy się na wzniesienie za nami! — krzyknął.

Wycofywali się sprawnie, skokami. Erkaemiści ubezpieczali kolegów, prowadząc krótki ogień w kierunku zabudowań, w których mógł się znajdować przeciwnik. Byli już blisko wzniesienia, kiedy upowcy ruszyli z krzykiem do ataku. Erkaemy przygasiły nieco ich entuzjazm. Ale to tylko na przedpolu, tuż przed kompanią. A co się dzieje w lewo i w prawo, za fałdami terenowymi? Czy nas nie okrążają, nie pokoił się Ojchman. Nad Czerniczynem rozbrzmiały rakiety i niemal jednocześnie od wschodu wybuchła strzelanina. Rosjanie, westchnienie ulgi wyrwało się z piersi majora.

Upowcy zaczęli się cofać. Ojchman podniósł kompanię i ruszył za nimi.

— Czerwone rakiety — krzyknął do przebiegającego obok dowódcy kompanii.

Tamten zrozumiał. Sygnał dla Rosjan, że tu swoi.

Zmęczeni po boju zbierali się w środku wsi. Zapałał wczesny zimowy wieczór. Nie było sensu ścigać uciekających w ciemnościach. Jutro ruszą za nimi. Ważne, że odbili dziesięciu kolegów z 3 batalionu. Z ich słów wynikało, że mieli do czynienia z sotnią „Zirki”. Podobno upowcy mieli kilku poległych i rannych, których zabrali ze sobą. Z 6 kompanii zos-

tało rannych trzech żołnierzy, a z pododdziału radzieckiego pięciu. Zdobyto 1 erkaem, 7 pistoletów maszynowych, 16 koni i 8 furmanek. Był to więc pierwszy poważniejszy sukces bojowy.

W koszarach w Hrubieszowie pełne pogotowie bojowe. Wszyscy czekają na rezultaty działań 6 kompanii. Brak informacji na temat poczyną grup wysyłanych w teren jest niezwykle denerwujący. Napięcie rośnie. Żaden z oficerów nie myśli już o Sylwestrze. Bataliony w Hołubiu i Warężu zostały uprzedzone o możliwości wycofywania się upowców w ich kierunku.

Wrócili koło osiemnastej. Kompania czyściła broń, uzupełniała amunicję i granaty, a Ojchman składał meldunek dowódcy pułku. W gabinecie podpułkownika Wantucha zebrali się wszyscy oficerowie sztabu. Patrzyli na mapę i zastanawiali się nad sytuacją. Przetrzepała sotnia mogła się wycofać w kompleks lasów w rejonie Wereszyna, Hołubia, Tudorkowic i Dołhobyczowa lub zapaść w lasy w rejonie Kryłowa albo Terebinia. Duży teren, zbyt duży jak na możliwości pułku. Podpułkownik Wantuch, wysłuchawszy zdania swoich oficerów, ważył decyzję.

— Poruczniku Kotwicki, proszę pisać — polecił wreszcie. — Pierwszy batalion siecią zasadzek obsadzi drogę Hołubie, Dołhobyczów, a trzeci batalion drogę Dołhobyczów, Wereszyn. Drugi batalion o szóstej rano wyruszy do Czerniczyna z zadaniem czesania terenu w kierunku południowym. Majorze Fomin, proszę powiadomić jednostkę radziecką

o naszych planach. Jeśli zdecydowałiby się wziąć udział w akcji, niech rozwiną się w kierunku na Kosmów, Kryłów, Hołubie. Życzę panom, aby nadchodzący Nowy Rok przyniósł wreszcie spokój naszej ziemi — zakończył w dość nieoficjalny sposób odprawę.

Rozjarzyły się światłami lampek „erbeemki”. Do Hołubia i Wareża pomknęły zaszyfrowane rozkazy. O wynikach ostatniej akcji i planach na nadchodzący dzień poprzez radiostację pośredniczącą w Zamościu poinformowano również dowództwo Okręgu Wojskowego Lublin.

Po dwudniowej akcji kompanie i bataliony wracały do swych garnizonów. Zmęczeni żołnierze przeklinali wszystkich i wszystko. Nieprzyjaciół, pogodę, a nawet dowództwo. Dwa dni wspólnie z jednostką radziecką uganiłi się za upowcami. Kilkakrotnie mieli ich w zasięgu swojej broni, lecz ci zawsze zdołali się wymknąć. Jakby zapadali pod ziemię. Jedyny rezultat tej akcji to 3 zdobyte karabiny i 3 koniokradów zatrzymanych przez chorążego Matyska w Kryłowie. „Zirka” umknął.

Wreszcie 16 stycznia 1946 roku otrzymano wiadomość, że sotnia „Zirki” przebywa na kwaterach w Wojstawicach (południowych). Połączone siły 1 i 3 batalionu pod dowództwem majora Ojchmana nocą otoczyły wieś. Jednak upowcy pod osłoną ognia cekaemów i erkaemów przedarli się do lasu. Poddało się 9 strzałców i 2 sanitariuszki. „Zirki” podobno w Wojstawicach nie było. Zatrzymani upowcy zeznali,

że wraz ze swoim sztabem znajduje się w Mianowicach lub Korkowie.

Bataliony bez odpoczynku ruszają w kierunku południowo-zachodnim. Tropem przeciwnika. Ale on ciągle ucieka. Wreszcie dzieli się na dwie części i jedna z nich idzie na północ, by dotrzeć do Tudorkowic (w tej grupie jest „Zirka”), druga łukiem obchodzi Chorobród i zapada z powrotem w Wojstawicach.

Bataliony się rozdzielają. Trzeci rusza na Uhrynów—Tudorkowice z zadaniem okrążenia ich od północy, pierwszy na Chorobród—Wojstawice z zadaniem okrążenia Tudorkowic od południa. Jest noc z 18 na 19 stycznia. Żołnierze są drugą dobę w akcji. Zimno i głód dają się we znaki. Może wreszcie dopadną tego „Zirkę”, a to by oznaczało wypoczynek i ciepłą strawę.

Trzeci batalion zaległ na skraju lasu. Od Wojstawic słychać strzelaninę. Kapitan Pęski jest niespokojny. To pierwszy batalion, z którym jest major Ojchman. Widocznie natknęli się na sotnię. Co robić? Może uderzyć na Tudorkowice? Spogląda na porucznika Jaruzelskiego, który przez lornetkę lustruje wieś. Jest spokojny i spokój ten udziela się również kapitanowi. Czeka. Batalion ma dobrą pozycję. Prosto na niego powinien wyjść wycofujący się nieprzyjaciel.

Wstaje słońce. Ostre. Biel śniegu podsycona słonecznym światłem kłuje przemęczone oczy. W Tudorkowicach wybucha strzelanina. A zatem doszli. Nareszcie. Przez tyralierę żołnierzy 3 batalionu

przebiega drżenie. Ze wsi wylaniają się sylwetki upowców.

— Wycofują się bez paniki — zauważa porucznik Jaruzelski. — Dobrze wyszkoleni.

Pęski widzi, że żołnierze mocniej przyciskają kolby do ramion, a wskazujący palec wędruje na język spustowy.

— Nie strzelać — podaje rozkaz w lewo i w prawo.

— Nie strzelać — powtarzają dowódcy drużyn, plutonów i kompanii.

Widocznie jednak któryś z żołnierzy nie dosłyszał pierwszego członu rozkazu lub zgrabił palec bez czucia nacisnął na język spustowy, gdyż na prawym skrzydle batalionu zaterkotał pistolet maszynowy. I w chwilę później cały skraj lasu zatrzęsł się od wystrzałów. Upowcy zalegli. Odpowiedzieli ogniem. I nagle skokami zaczęli wycofywać się w kierunku wschodnim. Ale nie wszyscy. Część ich ze śniegu już się nie podniosła.

Batalion nie żałował amunicji. Z żołnierskich twarzy ustąpiło zmęczenie, malowała się na nich zacięłość. Za poległych kolegów, za popalone wioski i pomordowanych ludzi. Jednak większość upowców zdołała wyjść z niepełnego okrążenia. Wycofali się w kierunku na Starogród i Pieczygóry.

Bataliony zmieniły front i ruszyły w pościg. Od strony Bugu rozgorzała strzelanina. W górę wzbily się czerwone rakiety. Rosjanie. Zanim bataliony dotarły do Starogrodu, naprzeciwko nich w terenowym

wozie opancerzonym wyjechał kapitan Prokopienko.

— U mnie jest „Zirka” — krzyczał z daleka.

Nie wierzyli. To oni uganiaли się za nim tyle tygodni, a Rosjanie go tak po prostu złapali?

Podeszli do wsi. Na jej skraju, na drodze, stali schwytani upowcy. Wśród nich postawą i elegancym gabardynowym mundurem, na naramiennikach którego widniał stopień podporucznika Wojska Polskiego, wyróżniał się mężczyzna liczący około 22 lat.

— Eto „Zirka” — oznajmił Prokopienko. — Wyjewe gnatsja, a my jewo schwatitsja — roześmiał się zadowolony z dowcipu, który nie wywołał odzewu wśród żołnierzy polskich. Spoglądali na „Zirkę” wzrokiem pozbawionym nienawiści, choć takim uczuciem pałali do niego jeszcze kilkadziesiąt minut temu. Teraz był dla nich pokonanym przeciwnikiem, już niegroźnym, wzbudzając tylko zdziwienie swoim mundurem i gwazdkami podporucznika WP. Upowiec w takim przebraniu?

PRZEZ KOPNE ŚNIEGI

Od rozbicia sotni „Zirki” minęły trzy dni. W gabinecie szefa sztabu major Fomin, porucznik Kotwicki i porucznik Jaruzelski omawiali sytuację. Referował porucznik Kotwicki.

— Z analizy meldunków dowódców batalionów z

Hołubia i Waręża, dowódców naszych grup wypadowych i naszego zwiadu oraz z informacji przekazanych przez jednostkę radziecką, Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego i Powiatową Komendę Milicji Obywatelskiej wynika, że punkt ciężkości działania grup podziemia przesunął się na południe powiatu i obecnie skupia się w dwóch ośrodkach: Sawczyn, Moszków, Szmitków, Leszczków oraz Dłużniów, Żniatyń, Hulcze, Chochłów. Oba te ośrodki dzieli odległość około dziesięciu kilometrów i stamtąd właśnie upowcy organizują wypady w kierunku Siebieczowa, Rusina, Przemysłowa i Budynina, a więc również w kierunku południowym. Rozbicie sotni „Zirki” problemu nie rozwiązuje: stan zagrożenia na naszym terenie jest nadal wysoki. Upowcy wciągają do swoich oddziałów nowy narybek, aby wyrównać ponoszone straty i zachować aktywność. Przerzucają swoje sotnie także zza Bugu, z rejonu Poździmierza i Kropiwszczyzny. Wszystko na to wskazuje, że wraz z nadejściem wiosny UPA zamierza przystąpić do wzmożonych działań w celu zahamowania akcji przesiedleńczej. W niektórych wsiach zamieszkałych przez ludność ukraińską przystąpiono do budowy ukryć i schronów pod zabudowaniami. Są też sygnały, na razie sporadyczne, że podobne schrony i ziemianki, zaopatrzone w żywność, broń i amunicję, mają zamiar budować w lasach i zagajnikach, w miejscach dobrze ukrytych przed obserwacją.

— Co proponujecie w związku z waszą oceną sytuacji? — spytał Fomin.

— W związku z tym, że nasze bataliony liczą od stu dwudziestu do stu czterdziestu ludzi i są zbyt słabe, aby oddzielnie przeciwstawić się silnej grupie, uważamy, że należy zwinąć garnizon w Hołubiu i jego załogą wzmocnić garnizon w Warężu. Wpłynie to na bardziej efektywne działanie wojska w ośrodkach wzmożonej aktywności upowców, którzy obecnie znajdują się właśnie niedaleko tej miejscowości. Za utworzeniem silnego garnizonu w Warężu przemawiają jeszcze dwa fakty. Brak łączności radiowej pomiędzy batalionami z powodu wyczerpania się baterii do radiostacji oraz duże opady śniegu, utrudniające poruszanie się w terenie, a tym samym niewielka możliwość wzajemnej pomocy ze strony oddalonych od siebie słabych pododdziałów.

— Zgadzam się z waszą propozycją i jeszcze dzisiaj przedstawię ją dowódcy do akceptacji.

— Jeszcze jedno, obywatelu majorze. — Porucznik Kotwicki powiedział to szybko, jakby obawiał się, że major nie dopuści go już do głosu. — Dowódcy batalionów i samodzielnych pododdziałów pułku coraz częściej poruszają sprawę krótkoterminowych urlopów dla kadry i żołnierzy. Chcieliby odwiedzić rodziny, których niejednokrotnie nie widzieli od roku. Kilkundniowymi urlopami można by również nagrodzić żołnierzy, którzy szczególnie wyróżnili się podczas ostatniej akcji.

— Przedstawię dowódcy i tę sprawę. Poruczniku

Kotwicki, bądźcie u mnie za godzinę. Mam nadzieję, że do tego czasu będzie już decyzja podpułkownika Wantucha.

— Alarm! — ostry głos podoficera dyżurnego kompanii poderwał żołnierzy na nogi. — Pobrać broń i granaty. Dowódcy drużyn, sprawdzić stan ludzi i wyposażenie. Zaraz podstawią samochody.

Jechali na Nieledew, Trzeszczany, Mołodiatycze. Jak ich poinformował dowódca kompanii, o godzinie dziewiętnastej banda NSZ napadła na Grabowiec. Są zabici i ranni.

Za Trzeszczanami samochody zaczęły grzęznąć w zaspach. Żołnierze zeskoczyli, próbowali je pchać. Śnieg jednak był tak głęboki, że w końcu wozy utknęły zupełnie. Od strony Grabowca wlatywały w niebo rakiety. Podporucznik Fleming denerwował się coraz bardziej. Mapy nie miał, jak zresztą i inni dowódcy kompanii, ale wiedział, że od Grabowca dzieli ich jeszcze jakieś 12 kilometrów. Samochodami dotarliby tam szybko. A pieszo? Po takim śniegu. Cholera, lepiej nie myśleć. Innego jednak wyjścia nie było.

— Drużyna Bąkowskiego zostanie do ochrony samochodów. Ziółkowski ze swoją drużyną wróci do Trzeszczan i weźmie osiem sań z zaprzęgami. My pójdziemy pieszo. Dogonicie nas.

Kompania poszła. Żołnierze brnęli po śniegu, przebijali się przez zasy. Z trudem pokonywali ko-

lejne metry zaśnieżonej drogi. Dochodzili do Małodiatycz, gdy z tyłu zadźwięczały dzwonki sań. Zalegli w śniegu. Na szczęście był to Ziółkowski.

— Odczepcie te cholerne dzwonki — zdenerwował się Fleming — chcecie, żeby nas z daleka usłyszeli.

Jechali polami, gdzie śnieg nie tworzył tak wielkich zasp. Przed Grabowcem rozwinęli się w tyralierę, przykazując chłopom, aby na nich zaczekali z saniami. Uderzyła ich cisza panująca we wsi. Wchodzili ostrożnie, spodziewając się z każdej strony ognia.

— Duża wieś i bogata. — Janik omiatał wzrokiem każdy szczegół mijanych zabudowań. — Nie to co u nas.

Dochodzili do posterunku MO, gdy zaświstały serie pocisków.

— Co jest? — Fleming nie mógł się połapać. — Banda opanowała posterunek i ma zamiar się bronić? To do nich niepodobne. Raczej milicja wzięła nas za bandę — wydedukował.

— Nie strzelać. Tu Wojsko Polskie z Hrubieszowa — krzyknął wykorzystując chwilową ciszę.

— Ja ci dam, bandyto, Wojsko Polskie — odkrzyknął ktoś z posterunku i puścił długą serię z pistoletu maszynowego.

Dopiero po kilku minutach słownej utarczki, podczas której z posterunku sypały się pociski, milicjanci uwierzyli, że naprawdę mają do czynienia z żołnierzami z Hrubieszowa. Jednak żaden z nich nie opuścił budynku, aby towarzyszyć kompanii w penetro-

waniu wsi. Poinformowali jedynie, że niedawno jeszcze bandyci byli w pobliżu, ograbili miejscowy sklep i prawdopodobnie kogoś zastrzelili. Oni nie interweniowali ze względu na zbyt szczupłe siły własne.

W czasie tej „wymiany informacji” żołnierze przyprowadzili do Fleminga kilkunastoletniego chłopca.

— Panie dowódco, tam leżą „pobici”. — Wyrostek pokazał ręką w kierunku północnym.

Skoczyli. Już bez zachowania ostrożności. Chłopiec prowadził. Dobięgli zdyszani do chałupy, przed którą stało kilka kobiet. Fleming z Ziółkowskim i Janikiem wpadli do oświetlonej izby. Na podłodze leżało trzech mężczyzn. Jeden starszy, prawdopodobnie ojciec rodziny, i dwóch młodszych. Nie żyli. Na łóżkach znaleźli kobietę i dwoje małych dzieci. Byli zakrwawieni. Fleming pochylił się nad nimi. Jeszcze żyją. Spojrzał na Ziółkowskiego i Janika. Zrozumieli dowódcę bez słowa. Popędzili do dwóch sąsiednich zagród. Po kilku minutach przed chałupą stały dwa zaprzęgi sanie z wystraszonymi woźnicami.

Żołnierze ułożyli rannych na saniach, a podporucznik Fleming polecił woźnicom, aby jechali jak najszybciej do szpitala w Hrubieszowie.

— My sprawdzimy — dodał od siebie Ziółkowski. — A gdyby coś nie tak, to... — Podetknął chłopcom lufę pepeszy pod nos i usadowił się obok jednego z nich. Jechał, aby sprowadzić sanie pozostawione pod Grabowcem.

Kompania szykowała się do powrotu. Nie mieli już tu nic do roboty, gdyż nikt nie potrafił powiedzieć, w którą stronę udała się banda. Od kobiet Fleming dowiedział się, że zamordowany był członkiem Polskiej Partii Robotniczej. Pozostali byli członkami rodziny. Za przynależność do partii zapłacili życiem i własną krwią.

Nadbiegł Ziółkowski.

— Nie ma sań, obywatelu poruczniku — zameldował. — Chłopi uciekli.

Kompania wyruszyła w drogę pieszo.

Tego samego dnia grupa wypadowa pierwszego batalionu wracała do Waręża po dwudniowej akcji przeczesywania terenu (odkąd bataliony się połączyły, można było wysyłać w teren silniejsze grupy wypadowe). Dowodził chorąży Matysek. Kiedy minęli Siebieczów, żołnierze sądzili, że pójdą „do domu” drogą najkrótszą, przez Leszczków, ale Matysek dał polecenie kapralowi Laprusowi, dowodzącemu ubezpieczeniem czołowym, aby skręcił wzdłuż widniejącej ściany lasu na Szmitków. Pomimo kopnego śniegu posuwali się dość szybko, niewidocznymi zarówno od strony Siebieczowa, jak i Szmitkowa. Matysek wiedział, że trasa jego grupy śledzona jest przez wywiad podziemia od chwili, kiedy wyruszyli z Waręża, sądził jednak, że upowcy nie będą się ich spodziewali w Szmitkowie, który zaledwie przed dwudziestoma paroma godzinami opuścili. Nie zdziwił

się przeto, kiedy usłyszał wymianę strzałów ubezpieczenia czołowego, zbliżającego się już do wsi. Rozwinął grupę w szyk bojowy i dołączył do Laprusa. Tutaj dopiero się zdumiał. Czterech upowców w polskich mundurach stało bowiem z rękami wzniesionymi ku górze, a jeden leżał na śniegu.

— Natknęliśmy się na nich niespodziewanie — relacjonował Laprus. — Oni też byli zaskoczeni naszym widokiem. Byliśmy o sekundę szybsi. Jednego zabiliśmy, czterech się poddało, a trzech zniknęli między zabudowaniami. Z naszej strony strat nie ma. — Kapral Laprus syknął i chwycił się za ramię.

— Ranny? — spytał Matysek.

— Głupstwo, tylko drasnęło. Zaraz opatrzę i po bólu.

W czasie gdy sanitariusz opatrywał ranę Laprusowi — okazała się ona poważniejsza, niż sądzono — Matysek rozwinął grupę do „czesania” wsi. Po krótkiej wymianie strzałów około czterdziestu upowców wycofało się w kierunku Rusina. Matysek zarządził, aby kapral Laprus z pięcioma ludźmi wziął sanie i jak najszybciej powiadomił bataliony w Warężu o sytuacji. Sam na czele grupy skierował się w ślad za uciekającą czotą.

Tymczasem strilci, którzy dochodzili już niemal do wsi Rusin, natknęli się na kilkunastoosobową grupę milicjantów z Waręża. Funkcjonariuszy początkowo zmyliły polskie mundury, lecz nie dali się zaskoczyć. Po krótkiej wymianie ognia, w wyniku którego został ranny jeden milicjant, musieli się jednak wycofać.

Wykorzystali to upowcy i zaczęli rekwirować we wsi sanie. Gdy grupa Matyska dochodziła do zabudowań od wschodu, z północy zbliżała się zaalarmowana przez Laprusa druga kompania z Waręża, wzmocniona po drodze wycofującymi się milicjantami.

Upowcy nie przyjęli walki. Pod osłoną silnego ognia zaczęli wycofywać się w kierunku wsi Wieźbien. Na ich strzały odpowiedziało jedynie lewe skrzydło tyraliery Matyska. Dla innych był to cel zbyt odległy. Wobec zapadających ciemności postanowiono pościg przerwać.

Następnego dnia (30 stycznia) chorąży Matysek wprosił się do grupy skierowanej w przypuszczalny rejon pobytu ściganej wcześniej czoty. Tym razem żołnierze zabrali z Waręża sanie. Grupa dosyć szybko osiągnęła Wieźbien. Matysek znający doskonale język ukraiński wystąpił w roli „upowca”. Od spotkanego we wsi wyrostka dowiedział się, że strilci jeszcze w nocy pomaszerowali na Dłużniów. Sanie pomknęły we wskazanym przez chłopaka kierunku. W pobliżu Dłużniowa żołnierze, wśród których był Matysek, spotkali się z grupą wypadową z trzeciego batalionu, przybyłą tu z Waręża przez Chochłów. Podczas krótkiej narady ustalono plan dalszego, wspólnego już działania. Obydwie grupy miały ruszyć na Żniatyń i przeczesać lasy między wsią Liski i Hulcze.

Dochodziła godzina czternasta, gdy po przeczesaniu pierwszego lasu tyraliery pierwszego batalionu

wyszły na otwarte pole. Żołnierze skokami przemierzali odkrytą przestrzeń, kiedy uderzyły w nich serie broni maszynowej. Strzelec Aleksander Koprowski zwał się na śnieg. Pocisk trafił go prosto w serce. Inni zalegli.

Dowódca grupy z trzeciego batalionu szybko ocenił sytuację i poprowadził swoich podwładnych lasem, w lewo, aby obejść zbrojną grupę. Po kilku minutach morderczego biegu znaleźli się na skrzydle nieprzyjaciela. Na pełne okrążenie nie starczało ani sił, ani czasu. Upowcy, widząc przewagę wojska, zniknęli w następnym lesie. Ale nie wszyscy. Na śniegu został jeden zabity i trzech z rękami podniesionymi do góry.

— Coś morale u nich słabnie. — Matysek podzielił się tą uwagą z porucznikiem Nowickim. — Wczoraj poddało się czterech, dzisiaj trzech. Przed kilkoma tygodniami było to nie do pomyślenia. O! Jest nawet oficer! — wyraźnie się ucieszył. — Ty kto? — spytał ostro.

— Lejtnant Romaniuk — odparł tamten i dodał: — Proszę odstawić mnie do jednostki sowieckiej.

— Odstawimy, nie bój się — mruknął Matysek.

Na drugi dzień po Romaniuka przybył do Waręża pododdział Czerwonej Armii z Sokala.

Najbliższe dni i tygodnie miały jednak pokazać, że Matysek mylił się co do słabnącego morale strilców Ukraińskiej Powstańczej Armii. Oto niektóre frag-

menty z meldunków i sprawozdań dowództwa 5 pułku:

Dnia 8.2.46 r. grupa wypadowa w sile 35 ludzi została wysłana z m. Waręż do m. Bełz w celu nawiązania łączności ze stacjonującym tam oddziałem Wojska Polskiego (z 8 pułku piechoty — przyp. Cz.G.). W czasie podejścia do m. Przemysłów grupa została ostrzelana silnym ogniem broni maszynowej z budynków we wsi oraz z pobliskiego lasu. Grupa wypadowa zajęła obronę, stawiając przeszło dwugodzinny opór przeważającym siłom bandy. W czasie walki zauważono, iż bandzie nadciągała pomoc z m. Cebłów i m. Oserdów. Sierżant Buczan przedarł się pod ogniem bandy do m. Bełz w celu wezwania pomocy. Po jej nadejściu oraz przybyciu drugiej grupy garnizonu m. Waręż banda ścigana przez nasze siły, zabrawszy swoich rannych i zabitych, wycofała się w kierunku m. Oserdów. Podczas walki m. Przemysłów została częściowo spalona od kul i granatów, poza tym były detonacje od przechowywanej w budynkach amunicji. Straty własne: zabity kapral Józef Januchta, ranni starszy sierżant Władysław Wiśniewski i sierżant Birman, uprowadzony został radiotelegrafista strzelec Józef Oleksiak. Straty bandy: około 20 zabitych i rannych, z której to liczby 10 zabitych pozostało na miejscu walki.

Dnia 12.2.46 r. oddział bojowy złożony z pięciu grup plus grupa milicji z m. Hrubieszów, razem około 210 ludzi, wyruszył, przed świtem z m. Waręż w kierunku na m. Przemysłów. Grupa Milicji Obywa-

telskiej po połączeniu się w m. Bełz z oddziałem KOP (WOP — przyp. Cz.G.) obstawia zachodni skraj wsi Worochta oraz drogę Worochta — Budynin, pozostałe pięć grup otrzymało zadanie przeszukania miejscowości Oserdów, Myców, Budynin, Chłopiatyń, Wyżłów i zniszczenia działających tam band. W czasie przeszukiwania wsi Oserdów zauważono około 20 bandytów na koniach uciekających z m. Budynin w kierunku m. Chłopiatyń. Otwarty do nich ogień nie przyniósł rezultatów z powodu dużej odległości. Posuwając się następnie w kierunku m. Chłopiatyń, zauważono wycofującą się stamtąd bandę, około 150 ludzi pieszo i na koniach, która zbliżała się do wsi Dłużniów i Żniatyń. Oddział nasz, przesuając się w dalszym ciągu po drodze Chłopiatyń — Myców — Wyżłów, z kierunku wsi Dłużniów, został ostrzelany ogniem broni maszynowej. W wyniku naszego natarcia banda wycofała się do wsi Dłużniów, a następnie do lasów leżących na północ od wsi. W czasie akcji został zabity podporucznik Ryszard Zajączkowski, zastępca dowódcy 4 kompanii strzeleckiej do spraw polityczno-wychowawczych. Bandyci stracili przypuszczalnie kilku ludzi w zabitych i rannych, których jednak zdołali ze sobą zabrać. Całkowite otoczenie i zniszczenie bandy było niemożliwe ze względu na brak szybkich środków pościgowych oraz ogromnie silną zamieć i śnieżycę, która utrudniała akcję. W czasie akcji zauważono porozumiewanie się band sygnałami umówionymi, jak rakiety, w rejonie Wieźbien — Oserdów — Budynin — Prze-

wodów. Świadczy to o silnych zgrupowaniach band w tych rejonach i o utrzymywaniu stałej łączności ze sobą.

W dniu 23.2.46 r. wysłano grupę wypadową z garnizonu Waręż w sile 75 ludzi, wzmocnioną ciężką bronią maszynową, pod dowództwem chorążego Matyska z zadaniem patrolowania przylegających wsi i lasów na trasie Waręż — Moszków — Boratyń — Krystynopol. Po przenocowaniu w Krystynopolu grupa wyruszyła 24.02.46 r. przez Ostrów, Siebieczów, Piwowszczyzna. Po minięciu przez czołówkę wsi Piwowszczyzna grupa natknęła się na bandę, która otworzyła ogień z okien domów. W wyniku blisko godzinnej walki banda została rozbita, tracąc 7 zabitych, w tej liczbie jednego oficera. Z naszej strony poległ kapral Stanisław Tarkowski, pełniący obowiązki zastępcy dowódcy 1 kompanii rusznic przeciwpancernych do spraw polityczno-wychowawczych. W czasie walki spłonęło kilka domów.

Do starć podobnych do tych odtworzonych w meldunkach dochodziło w lutym i marcu bardzo często. W tym okresie sotnie UPA zaczęły wykazywać wzmoczoną aktywność — coraz częściej organizowały akcje przeciwko wojsku oraz demonstrowały swą siłę wobec ludności. Między innymi w połowie lutego zgrupowane w rejonie Tudorkowic oddziały UPA (około 400 ludzi) przeprowadziły ćwiczenia taktyczne z nowo wcielonymi, a następnie dokonały demonstracyjnego przemarszu przez okoliczne wioski.

Te wystąpienia zmuszały dowództwo 5 pułku do wysyłania w teren grup nie ustępujących liczebnością oddziałom podziemia. Nie było to łatwe do zrealizowania, bowiem część pododdziałów pułku od 11 lutego 1946 roku przewidziana była do pomocy komisjom przesiedleńczym i ochrony ewakuowanej ludności ukraińskiej. Aby nie osłabiać sił przeznaczonych do zwalczania zbrojnego podziemia, zaczęto więc w znacznie szerszym niż dotychczas stopniu włączać w skład grup wypadowych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa (MO, UB) oraz żołnierzy WOP.

Wspólne, coraz lepiej zorganizowane, akcje wojska i organów bezpieczeństwa były częściowo wynikiem rozkazu MON z 3 grudnia 1945 roku, poddającego krytyce dotychczasowy stan i efekt współpracy w zwalczaniu zbrojnego podziemia, a także powołania w marcu 1946 roku Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa z marszałkiem Rolą-Żymierskim na czele, do zadań którego należała między innymi koordynacja i intensyfikacja działań wojska i służb bezpieczeństwa przeciwko zbrojnemu podziemiu. Powołano też wojewódzkie i powiatowe komitety bezpieczeństwa, na czele których stali dowódcy związków taktycznych i oddziałów operujących na danym terenie. W Hrubieszowskim przewodniczącym komitetu został nowy dowódca 5 pułku piechoty, pułkownik Kazimierz Sikorski (objął dowództwo pułku 2 marca 1946 roku).

Również w marcu nastąpiła częściowa reorganiza-

cja pułku. Rozkazem Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego z 27 lutego 1946 roku w jednostkach piechoty wprowadzono nowy etat, który w pułku piechoty przewidywał 99 oficerów, 246 podoficerów i 637 szeregowców — razem 982 żołnierzy i 14 pracowników cywilnych. W 5 pułku, ze względu na realizację zadania bojowego, nie przeprowadzono całkowitej reorganizacji, jedynie dostosowano jego aktualny stan do nowej struktury. Pułk w tym czasie liczył 1130 żołnierzy, w tym 120 oficerów. Główne pododdziały pułku to: trzy bataliony piechoty (po trzy dwuplutonowe kompanie piechoty, kompania ckm i kompania moździerzy 82 mm), bateria moździerzy 120 mm, bateria dział 76 mm, bateria dział przeciwpancernych 45 mm.

Od połowy marca jeden z batalionów skierowany został do pomocy Komisji Przesiedleńczej i powierzono mu zadanie ochrony transportów z ewakuowaną ludnością oraz stacji załadowniczych. Drugi batalion zajął się zorganizowaniem szkoły podoficerskiej, w razie potrzeby był również wykorzystywany do różnych akcji w terenie. Taki podział sił sprawiał, że grupę operacyjną w pełnym tego słowa znaczeniu mógł tworzyć tylko jeden batalion piechoty. Dlatego też, gdy 24 marca silny oddział UPA zaatakował ogniem broni maszynowej garnizon w Wareżu, batalion ten, mimo iż odparł nieprzyjaciela, nie miał wystarczających sił, by podjąć pościg. Nie mógł też wezwać pomocy, gdyż wyczerpały się baterie radiostacji.

Tymczasem od wiosny 1946 roku rozpoczęła się druga faza przesiedlania ludności ukraińskiej, wywołując wzrost aktywności oddziałów UPA, które różnymi sposobami usiłowały pokrzyżować plan repatriacji, nie szczędząc pogroźek nawet własnym rodakom przygotowującym się do wyjazdu. Dla żołnierzy 5 pułku nadchodziły kolejne trudne dni.

POŁUDNIE W OGNIU

— Siadajcie, Aleksandrze Nikołajewiczu. — Pułkownik Sikorski wskazał krzesło wchodzącemu majorowi Fominowi. — Wybaczcie, że tak późno was wezwałem, ale sprawa jest pilna. — Fomin zerknął na zegarek; było już po dwudziestej drugiej. — Przynieśliście to, o co prosiłem?

— Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

Fomin, ilekroć byli sami, stosował ten przyjęty w Armii Czerwonej zwrot. Zresztą obaj byli członkami WKP(b), obaj też należeli do frontowych oficerów Czerwonej Armii, skierowanych czasowo do Wojska Polskiego. Sikorski wcześniej. Zdążył nawet wziąć udział w bitwie pod Lenino jako szef sztabu 3 pułku piechoty. Wówczas to poznał i polubił żołnierzy polskich. Za ich brawurę, fantazję i nienawiść do faszyzmu. Po wojnie prosił przełożonych o skierowanie go do walki z upowcami, którzy wymordowali mu całą rodzinę. Czasem na to wspomnienie ogarniała go rozpacz. I wtedy sięgał po butelkę.

Po wyznaczeniu go na dowódcę 5 pułku z właściwą sobie energią przystąpił do zwalczania sił UPA i przesiedlania ludności ukraińskiej. Właśnie wspólnie z Fominem i jego pomocnikami opracowali nową metodę transportu ludności ukraińskiej za Bug. Biorąc bowiem pod uwagę trudności występujące na kolei, postanowiono do tego celu wykorzystać furmanki. Każdego dnia z wiosek położonych w środkowej części powiatu miał ruszać konwój do punktu przekazania w Uściługu, a z wiosek położonych w południowej części powiatu — do Zabuża-Sokala.

Sikorski spojrzął na maszynopis przyniesiony przez Fomina. *Dnia 5.4.46 r. na stacji w m. Werbko-wice został załadowany czwarty z kolei transport ewakuantów w ilości: wagonów 29, rodzin 53, osób 184. Do dnia dzisiejszego w trakcie akcji przesiedleńczej, do której wykorzystywano codziennie 200 furmanek, zostało wysiedlonych i dostarczonych do stacji załadowania z gmin i wsi przylegających do m. Hrubieszów 205 rodzin, co wynosi 687 osób... Dnia dzisiejszego po częściowej ewakuacji Ukraińców z m. Hrubieszów w dwóch miejscach wybuchły pożary. Na miejsce wybuchu pożarów, celem ich zlikwidowania, zostały wysłane oddziały garnizonu m. Hrubieszów oraz batalion Armii Czerwonej, jednak z powodu małej odległości pomiędzy zabudowaniami i przechowywanej między nimi słomy udało się spalić 14 prywatnych zabudowań Polaków. W trakcie gaszenia pożaru zatrzymano 9 osób podej-*

rzanych o podpalenie, w tym kilku Ukraińców w mundurach Wojska Polskiego.

Pułkownik odłożył meldunek i spojrzał na Fomina.

— Czy mamy jakieś wiadomości z pierwszego batalionu? — spytał.

— Nie, grupa wypadowa wysłana do Wojławic, Pieczygór i Starogrodu jeszcze nie wróciła do Waręża.

— A co z przesiedleńcami?

— Meldowali z Werbkowic, że nadszedł parowóz i jeszcze przed północą transport ruszy w drogę. A jutro przewieziemy furmankami do Uściługu pozostałą ludność ukraińską z Hrubieszowa i Czerniczyna.

— Pamiętaj, Sasza, że ci mieszkańcy mają zabrać ze sobą cały dobytek, wszystko, co można załadować na furmanki i do wagonów. W ich domach nic wartościowego nie może pozostać. Wiesz przecież, jak na tej strunie gra propaganda przeciwnika, z byle drobiazgu robią problem.

Fomin spojrzał ze zdziwieniem na Sikorskiego. Do kogo ta mowa? Wszak wszyscy znają rozkazy i zarządzenia, żadnych wykroczeń w tym względzie nie stwierdzono. Odwrotnie: sami żołnierze, nierzadko też repatrianci zza Bugu, narzekają, że tak dokładnie muszą sprawdzać opuszczane domy i mieszkania. Ich właściciele często celowo pozostawiali jakieś rzeczy, aby później prosić o powrót „na chwilę” już z transportu. Nie odmawiano im tego, w roztrągnięciu każdy może coś zapomnieć, ale zdarzało się, że już nie wracali. Znane były również przypadki

oskarżenia żołnierzy o przywłaszczanie sobie różnych przedmiotów należących do przesiedlanych. Badał wówczas te zarzuty kapitan Kukljanow, oficer informacji pułku, nie znajdując z reguły ich potwierdzenia.

Około dwudziestej trzeciej Sikorski z Fominem opuścili budynek sztabu i życząc sobie dobrej nocy rozeszli się na swoje kwatery.

Nie dane im było jednak długo odpoczywać. Około trzeciej nad ranem w pokoju Sikorskiego zabrzączał telefon. Jeszcze zaspany sięgnął po słuchawkę:

— Pułkownik Sikorski — przedstawił się.

— Melduje się oficer inspekcyjny pułku, podporucznik Seget. Otrzymałem wiadomość, że na Werbkowice napadła banda i rozbroiła całą ósmą kompanię. Dzwonił chorąży Kołakowski.

Sikorski zbladł. Taki dyshonor dla pułku, dla jego pułku. Jak mogło do tego dojść, żeby rozbroili całą liczącą ponad 50 ludzi kompanię? To fakt, że pełniący obowiązki dowódcy 8 kompanii chorąży Kołakowski nie należy do zbyt doświadczonych oficerów, ale żeby dopuścić do takiej kompromitacji?

— Zarządzić alarm. Powiadomić szefa sztabu, batalion Czerwonej Armii i Urząd Bezpieczeństwa. — Pułkownik Sikorski już się otrząsnął z chwilowego wzburzenia.

Dochodziła czwarta rano, gdy cztery samochody ciężarowe z żołnierzami polskimi i radzieckimi ruszyły na Werbkowice. Wraz z pułkownikiem Sikorskim jechał major Fomin, kapitan Prokopienko i szef

UB. Po niecałych trzydziestu minutach znaleźli się na miejscu. Przeskoczyli most na Huczwie, wspięli się na lekkie wzniesienie i skręcili w kierunku dworca kolejowego. Już z daleka pułkownik Sikorski zobaczył żołnierzy kompanii. Część z nich posiadała broń, co go nieco uspokoiło. Wśród swoich podwładnych stał chorąży Kołakowski. Był bez pasa i broni.

— Gdzie wasza broń? — sucho spytał Sikorski.

— Zabrali — wykrztusił Kołakowski.

— Kukljanow — dowódca pułku zwrócił się do szefa informacji. — Aresztować.

Z wyjaśnień żołnierzy i ludności cywilnej powoli wyłaniał się obraz niedawnych wydarzeń.

O godzinie drugiej grupa, licząca około 40 osób ubranych w polskie mundury, przecięła linie telefoniczne i odebrała broń straży kolejowej. Następnie, znając już hasło, rozbroiła posterunek z erkaemem na moście i kolejne stráže. Wreszcie przyszła pora na dowódcę kompanii, który również został zmuszony do oddania broni. Do żołnierzy przebywających na kwaterach członkowie bandy nie dotarli. W sumie kompania straciła 1 rewolwer Nagant, 9 karabinów, 5 pistoletów maszynowych PPSz, 1 cekaem, 3 erkaemy, 3000 sztuk amunicji karabinowej, 430 sztuk amunicji pistoletowej, 30 granatów, 19 płaszczy, 18 pasów głównych, 6 ładownic oraz całą dokumentację. Rozbrojonych żołnierzy zaprowadzono na dworzec kolejowy, gdzie kierujący akcją oficer wygłosił „krótkie przemówienie”. Przedstawił się jako „Łoś”

z organizacji „Wolność i Niezawisłość”, poinformował, że stoi na czele oddziału UPA, i kazał swoim podwładnym, aby wręczyli żołnierzom ulotki o treści antykomunistycznej. Potem na furmankach odjechali w kierunku wsi Malice. Pościgu nie podjęto ze względu na znikomą ilość broni i szok spowodowany rozbrojeniem.

Pułkownik Sikorski postanowił ścigać sprawców napadu. Samochody potoczyły się po wyboistej drodze na południe, w kierunku wsi Malice. Pomimo niewielkiej odległości (około 5 kilometrów) trzeba było aż 15 minut na dojazd do wioski. Dowódca pułku zdawał sobie sprawę, że grupa, która ponad dwie godziny temu wycofała się z Werbkowic, mogła już dojechać do Mołożowa, mogła osiągnąć Mircze lub skryć się w którymś z kompleksów leśnych, a wtedy odszukanie jej byłoby sprawą beznadziejną. Jednak nie rezygnował z pościgu.

Wjeżdżali właśnie do wsi Malice, kiedy dostrzegli czterech osobników w polskich mundurach, którzy na widok samochodów rzucili się do ucieczki. Jeden z nich biegł w kierunku lasu położonego w prawo od drogi, pozostali skierowali się w lewo. Bliżej mieli do tego samotnego uciekiniera. Pierwsza seria z erkaemu rzuciła go na ziemię, ale po chwili wstał i trzymając się za ramię biegł dalej. Już tylko kilkanaście metrów dzieliło go od rosnących na skraju chaszczy, gdy dosięgła go druga seria, po której już się nie podniósł.

Do uciekającej w kierunku kolonii Kożuchy trójki

prowadziły ogień pozostałe erkaemy, lecz z powodu dużej odległości był to ogień niecelny. Mężczyźni skryli się w lesie. Ruszyła za nimi tyraliera żołnierzy polskich i radzieckich, ale poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Po uciekającej trójce nie pozostał nawet ślad.

Tymczasem miejscowa ludność rozpoznała w zabitym Zdzisława Olchowskiego, dowódcę kompanii AK z okresu okupacji, natomiast podwładni chorążego Kołakowskiego stwierdzili, że jest to „Łoś”, kierujący akcją w Werbkowicach. Jeden z żołnierzy przypomniał sobie teraz, że widział go poprzedniego dnia na dworcu w mundurze kolejarza. W ten sposób wyłaniał się powoli mechanizm przygotowania napadu. Ciągle jednak nie wiadano, jaki oddział UPA brał udział w owej akcji. Dopiero trzy tygodnie później zagadkę tę wyjaśnił niejaki Charkowski, złapany w okolicach Szmitkowa. Stwierdził on, że plan działań przygotował „Łoś”, który zdobył hasło, a udział w napadzie wzięła czota „Kropiwy” wchodząca w skład sotni „Lisa”.

Po częściowej reorganizacji pułku, w wyniku której rozformowano między innymi kompanię fizylierów, uzupełniając jej żołnierzami inne pododdziały, Ziółkowski i Janik trafili do 1 batalionu, stacjonującego w Warężu. Dowództwo pełnił tam porucznik Jan Bogdas, przedwojenny oficer rezerwy, człowiek energiczny i wymagający. Od połowy grudnia 1945

roku, kiedy objął tę funkcję po rannym kapitanie Apanasiewicz, batalion odniósł znaczne sukcesy w walce z ukraińskim podziemiem. Po nieudanym ataku upowców na Waręż 24 marca Bogdas dodatkowo umocnił miejsce stacjonowania batalionu. Żołnierzy rozlokował, jeśli to tylko było możliwe, w sąsiadujących ze sobą zabudowaniach i każde z nich przystosował do obrony. Powstały okopy i rowy łączące, gniazda moździerzy i broni maszynowej oraz armat 45 mm. To nic, że wiedzieli o tym ukraińscy chłopcy, wśród których na pewno było wielu informatorów UPA. Aby ich zmylić, aby uniemożliwić ustalenie liczby żołnierzy i broni, Bogdas często w nocy, po cichu wysyłał w okolice Waręża patrole. Wracały one w dzień, co sprawiało wrażenie, że garnizon otrzymuje wzmocnienie. Stosunkowo często zmieniano również na stanowiskach ogniowych broń ciężką.

Dziesiątego kwietnia po godzinie drugiej w nocy stojący na warcie Janik zauważył od strony Oszczo-wa i Dołhobyczowa krwawą łunę. Wszczął alarm i jednocześnie bacznie obserwował, co dzieje się w rejonie jego posterunku. Już nieraz zdarzało się, że upowcy pozorowali napad w innym miejscu, aby osłabić siły i czujność garnizonu, a potem uderzali z zasadki na grupę wypadową bądź na wioskę, w której stacjonowała jednostka.

Również porucznik Bogdas, postawiwszy batalion w stan pełnej gotowości bojowej, zastanawiał się, co robić dalej. Łączności z Hrubieszowem nie miał,

a jedną kompanię niedawno wysłał do ochrony magazynów ze zbożem do Zabuża. Żeby ścigać po nocy bandę, trzeba wyruszyć co najmniej dwoma kompaniami. A co pozostanie w Warężu? Popatrzył na mapę, chociaż teren znał na pamięć. Do Oszczowa 5 kilometrów, do Dołhobyczowa 10. Z jakimi siłami przeciwnika może się spotkać? Zbyt wiele niewiadomych, a za każdą z nich kryje się ryzyko mogące kosztować życie ludzkie. Lecz jest dowódca. Decyzję musi podjąć.

— Słuchaj, Karol — zwrócił się do adiutanta podporucznika Karola Zajączkowskiego — weźmiesz trzy plutony piechoty oraz pluton cekaemów i rozpoznasz sytuację. Poza Dołhobyczów nie idź, chyba że będzie już widno. W wypadku dużej przewagi wroga nie wdawaj się w walkę. Niebezpieczeństwo grożące twojej grupie lub garnizonowi w Warężu sygnalizujemy trzema czerwonymi rakietami. Powodzenia.

Plutony poszły marszem ubezpieczonym. Po kilku kilometrach wiedzieli, że to nie Oszczów, że płonie Dołhobyczów. Łuna na niebie stawała się coraz większa, coraz bardziej ponura.

Zajączkowski rozluźnił szyki kolumny i wzmocnił ubezpieczenie czołowe. Ze wzniesienia zobaczyli ogarnięty pożarem Dołhobyczów. Na jego obrzeżu kręcili się ludzie, próbując ratować, co się da. W środku wsi nie było nikogo. Nikt by nie wytrzymał w takim ogniu.

Zajączkowski już wiedział, że napastników w Doł-

hobyczowie nie ma. Podpalili i odeszli, jak to się zdarzało coraz częściej we wsiach, z których przesiedlano ludność ukraińską. Mimo to rozwinął plutony w tyralierę i ostrożnie podchodził do wioski.

Pierwszymi ludźmi, na których natknęła się grupa wypadowa, byli milicjanci z miejscowego posterunku. Bez broni. Z ich relacji wynikało, że o drugiej w nocy grupa w sile około 400 ludzi otoczyła posterunek i zażądała, aby milicjanci złożyli broń. Zajączkowski spojrzał na referującego z niedowierzaniem.

— Cóż mieliśmy robić przeciw takiej sile — tłumaczył inny. — Naliczyliśmy u nich dziesięć cekaemów, trzydzieści erkaemów, pięć moździerzy i cztery czterdziestopięciomilimetrowe działka.

— A może jeszcze mieli czołgi? — nie wytrzymał Zajączkowski. — Jak w ciemnościach mogliście wiedzieć, ile i jaką mieli broń? Podprowadzali wam pod okna?

Milicjant stropił się i przerwał swój wywód. Inni stali w milczeniu ze spuszczonej głowami.

Zajączkowski machnął ręką. Strach ma wielkie oczy. Muszą czymś usprawiedliwić fakt, że dali się rozbroić bez walki. A swoją drogą trzeba zwrócić uwagę Służbie Bezpieczeństwa, aby przyjrżeli się posterunkom w terenie. Coś za często rozbijają ich bez jednego strzału i wzbogacają w ten sposób własny arsenał broni i amunicji.

Od ludności dowiedział się, że członkowie tej licznej grupy ubrani byli w mundury polskie i ra-

dzieckie, a dowodził nimi „Duda” w mundurze porucznika Wojska Polskiego. Uprawdzili ze sobą wójta i szukali jednego kaprała z posterunku MO. Zostawili dla niego wyrok śmierci. Odchodząc w kierunku Hołubia odgrządzali się, że nie dopuszczą do dalszego wysiedlania ludności ukraińskiej, i podpalili Dołhobyczów w kilku miejscach. Jak oceniali mieszkańcy wsi, spłonęło około 100 zabudowań.

Zajączkowski skierował część żołnierzy do pomocy w gaszeniu pożarów. O ściganiu bandy nawet nie myślał. Miał na to zbyt małe siły.

Wobec wzrastającej aktywności podziemia zbrojnego, szczególnie w południowej części powiatu, za zgodą politycznych i wojskowych władz województwa lubelskiego w Hrubieszowie wprowadzono godzinę milicyjną (obowiązywała od zmroku do wschodu słońca). Jednocześnie wzmocniono placówkę Komendy Miasta, która miała wystawiać w dzień i w nocy dwa lub trzy patrole. Do wzmocnienia garnizonu w Warężu oraz do pomocy w ochronie transportów przesiedlanej ludności ukraińskiej skierowano 2 bataliony piechoty. Koncepcja zasadzek i silnych grup wypadowych stała się znowu realna.

Wyruszyli po kolacji, kiedy mieszkańcy Waręża gasili światła i kładli się spać. Aby zmylić ewentualnych szpiegów, poszli szosą na Dołhobyczów i mniej

więcej w połowie drogi do Oszczowa skręcili w prawo, w polną drogę. Potem przesunęli się cicho między Pawłowicami a Mianowicami, obeszli szerokim łukiem Nusmice i zapadli przy skrzyżowaniu dróg prowadzących z Uhrynowa do Tudorkowic i z Nusmic w kierunku tudorkowickich lasów.

Typowa zasadzka. Wzmocniony pluton, uzbrojony w erkaemy i pistolety maszynowe. Prawie 40 ludzi. Nawet czota, gdyby weszła na obstawiony przez nich skrawek terenu, nie byłaby straszna. Ustalono kolejność czuwania. Na zmianę, co dwie godziny, co drugi czuwał, reszta próbowała spać. Nie było to łatwe. Kwietniowe noce są zimne, ziemia wilgotna, wiosenna.

Wlokły się godziny, dłużył czas oczekiwania. Żołnierze z niecierpliwością wyglądali świtu, a z nim końca zasadzki. Chciało się palić, chciało się pić, ba, chciało się nawet jeść. Lecz zasadzka to zasadzka — zupełna cisza i wtopienie się w teren.

Na wschodzie zaczęło szarzeć. Budził się dzień, a z nim nadzieja, że wkrótce znajdą się na swych kwaterach.

Nagle od lewego skrzydła doleciał szmer.

— Uwaga! Uwaga! Uwaga! — przekazywały kolejno żołnierskie wargi.

Wytężyli wzrok. Jest! Furmanka z trzema ludźmi. Na kolanach trzymają pistolety maszynowe. Był rozkaz, aby pojedynczych ludzi i pojedyncze furmanki zatrzymywać dopiero na końcu zasadzki, toteż w milczeniu obserwowali jadących. Słyszeli nawet po-

szczególne słowa prowadzonej przez „podróżnych” rozmowy. Wóz zbliżał się już do końca zajmowanych przez nich pozycji. Nikt za nim nie jechał, nikt nie szedł. Plutonowy Ziółkowski się zdecydował.

— Stać! Tu Wojsko Polskie! Rzucić broń! — słowa padały szybko i ostro, jak wystrzały karabinowe. Nie zdążył jeszcze skończyć, a w jego kierunku obróciły się pistolety tamtych i strugi pocisków przeorały ziemię. Jednocześnie woźnica podciął konie.

— Ognia! — Głos Ziółkowskiego zlał się z terkotem erkaemu i pepeszek.

Konie szarpnięte ręką trafionego woźnicy, a może smagnięte pociskiem, skręciły ostro w bok. Wóz wyrócił się i rozsypał w kawałki. Trzej mężczyźni leżeli na drodze. Żaden z nich nie strzelał.

Podchodzili ostrożnie, obawiając się podstępny. Nie było to potrzebne. W ich ciałach ugrzęzło po kilkanaście pocisków.

Akcja przesiedlania ludności ukraińskiej w południowo-wschodnich rejonach powiatu hrubieszowskiego nabierała tempa. 1 i 2 bataliony piechoty, które służyły pomocą Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej, miały już doświadczenie w ochronie transportów ewakuowanej ludności i walce z ukraińskim podziemiem. Wypadki, zasadzki i patrole zaczęły wreszcie przynosić rezultaty. Wpadali łącznicy, współpracownicy i członkowie UPA. Wykrywano podziemne magazyny z bronią i żywnością. Powoli,

ale systematycznie, rozbijano siatkę terenową UPA i OUN.

Pododdziały 1 batalionu po odtransportowaniu do Zabuża ludności z Opólska i Sawczyna przeniosły się do Bojanic, kolejnej przewidzianej do całkowitego wysiedlenia wioski. Jednak ze względu na brak transportu kolejowego — na stacji w Zabużu koczowały dziesiątki osób — chwilowo wstrzymano akcję. Porucznik Bogdas powiadomił o sytuacji dowództwo pułku w Hrubieszowie.

Była godzina siódma 25 kwietnia 1946 roku, gdy przed sztab pułku zajechały dwa *Studebakery* z baterii moździerzy 120 mm. Na samochodach siedziało 40 żołnierzy ze szkoły podoficerskiej pułku, którymi dowodził plutonowy Henryk Sławecki. Po chwili ze sztabu wyszedł pułkownik Sikorski, a za nim major Fomin i szef artylerii kapitan Artychowicz. Ci ostatni byli w płaszczach, z bronią boczną i mapnikami — znak, że wybierali się w teren. Pułkownik Sikorski podał każdemu z nich rękę i patrzył, jak zajmują miejsca w szoferkach samochodów. Jeszcze moment i wozy ruszyły, minęły bramę koszar, skręciły w prawo, a później w lewo na most. Wyjazd ten zorganizowano, by przeprowadzić inspekcję w batalionach operujących na południu oraz — na skutek meldunku porucznika Bogdasa — udzielić pomocy w rozładowaniu sytuacji na stacji kolejowej Zabuże. W tym celu z grupą 5 pułku jechał przewodniczący Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej z Hrubieszowa, któremu kapitan Prokopienko przydzielił jako ochro-

nę samochód pancerny i 12 żołnierzy na samochodzie ciężarowym *Studebaker*. Połączony konwój wyruszył przez Czerniczyn, Wereszyn, Dołhobyczów, Waręż do Zabuża. Powrót przewidywano następnego dnia po południu.

Młoda, niespełna dwudziestoletnia Marcela Palczyńska, od niedawna pracownica Komendy Powiatowej MO w Hrubieszowie, zastanawiała się, jak dotrzeć do Dołhobyczowa. Rowerem było zbyt daleko i niebezpiecznie. A jechać nie tyle musiała, co chciała. W Hrubieszowie było trudno o żywność i ceny były wysokie, tymczasem znajomy młynarz z Dołhobyczowa, Szewczuk, obiecał jej trochę rąbanki i mąki.

Było już późne popołudnie, gdy zdecydowała się zadzwonić do jednostki, by spytać, czy nie wysyłają w tamtym kierunku jakiegoś samochodu. Oficer inspekcyjny poinformował ją, że zaraz rusza do Waręża kolumna samochodowa wioząca zboże. Palczyńska zwolniła się u swego kierownika i poszła na ulicę Dzierżyńskiego, by tam poczekać na samochody. Nie stała zbyt długo. Po kilkuminutowym oczekiwaniu usłyszała warkot pnących się pod górę wozów i zza zakrętu wyłonił się pierwszy *Studebaker*. Pomachała ręką, na co kierowca zareagował piskiem hamulców. Z szoferki wychylił się młody uśmiechnięty podporucznik. Wyłuszczyła mu swą prośbę. Oficer wyraził zgodę i polecił jej, by wsiadła do jednego

z jadących na końcu kolumny samochodów. „Ze względu na bezpieczeństwo”, tłumaczył. W „pudle” ciężarówki, do której się wgramoliła, siedział żołnierz z pepeszą oraz czarnowłosa cywil. Zaczęli ze sobą rozmawiać. Dowiedziała się, że młody człowiek nazywa się Stefan Skoczeń, jest milicjantem z Warszawy i przyjechał do Hrubieszowa odwiedzić służącego w pułku brata. Brat jednak przebywa w Warężu, więc zdecydował się tam pojechać.

Minęli miejscowość Mircze, gdy znajdujący się za nimi samochód zaczął zostawać w tyle. Z widocznym trudem pokonywał niewielkie wzniesienie, jego silnik krztusił się na wysokich obrotach. Za nim podążały jeszcze cztery samochody. Odległość między tą piątką a sunącą spokojnie kolumną, w której Palczyńska naliczyła piętnaście ciężarówek, z każdą minutą wzrastała. Kiedy dojechali do Wereszyna, „maruderów” — jak określił ich Skoczeń — nie było widać.

Znaleźli się na wzniesieniu i zmierzali w kierunku pierwszych zabudowań wsi, gdy nagle czoło kolumny stanęło. Spojrzeli do przodu. Koło prowadzącej ciężarówki kręciło się kilku mężczyzn w polskich i radzieckich mundurach. Palczyńska rozejrzała się dookoła. Z prawej las dochodził prawie do drogi, z lewej był nieco dalej, ale za to przy drodze rosły krzaki. Idealne miejsce do zasadzki, pomyślała. Spojrzała na swego towarzysza podróży i żołnierza z pistoletem maszynowym. Pierwszy czujnie rozglądał się dookoła, drugi oparty o szoferkę bawił się zamkiem pepeszy.

Po chwili kolumna ruszyła. Ujechali jednak zaledwie kilka metrów i znowu stanęli. Ich samochód zatrzymał się akurat przy oficerze i żołnierzu w polskim mundurze. Palczyńska chciała zapytać oficera, dlaczego już drugi raz ich zatrzymują, gdy stojący obok niego szeregowy uniósł nieznacznie broń, smagnął serią tkwiącego przy dachu szoferki żołnierza, po czym nie zdejmując palca z języka spustowego omiół ogniem szoferkę. Wszystko stało się tak nagle, że dopiero po chwili dziewczyna zdała sobie sprawę, iż wzdłuż całej kolumny niosą się serie z broni maszynowej. Spojrzała na Stefana Skoczenia i dostrzegła w jego rękach drgającą od wystrzałów pepeszę. Błyskawicznie przerzuciła wzrok na kierunek wskazany przez lufę i zobaczyła łamiące się wpół ciała „żołnierza” i „oficera”. Nie wiedziała, że w tym momencie ginie jeden z czotowych, „Lew”.

— Skacz! — krzyknął Stefan.

Wyskoczyli prawie jednocześnie i jednocześnie wpadli w gęste przydrożne krzaki. Ruszyli chyłkiem ku północy. Za nimi powoli cichły strzały, ale zaczęły unosić się kłęby dymu z płonących samochodów. Przebiegli dobry kilometr i wreszcie dostrzegli pozostałą piątkę ciężarówek. Ich kierowcy starali się jak najszybciej zawrócić, co nie było wcale sprawą łatwą.

Ruszyli już w kierunku Hrubieszowa, gdy od strony Wereszyna znowu dobiegły do nich odgłosy strzelaniny. Kierowcy mocniej nacisnęli pedały gazu, a nieliczni stojący na skrzyniach samochodów żoł-

nierze wodzili lufami pistoletów po mijanych krzakach i zagajnikach, spodziewając się w każdej chwili ognia przeciwnika.

Zbliżała się osiemnasta, gdy samochody wpadły na ulice Hrubieszowa i mimo nawoływań spotkanych patroli zatrzymały się dopiero przy brami koszar.

Po wysłuchaniu relacji Palczyńskiej i Skoczenia pułkownik Sikorski polecił powiadomić bataliony w Warężu i Bojanicach o zaistniałej sytuacji, a sam zastanawiał się, co robić dalej. W koszarach miał niewielu ludzi. Na dobrą sprawę liczyły się tylko dwa plutony szkoły podoficerskiej, postanowił więc, że skoro świt wsadzi je na Studebakery i ruszą do Wereszyna.

W tym czasie gdy Palczyńska i Skoczeń przemykali ku piątce ocalałych ciężarówek, do Wereszyna, od strony Dołhobyczowa, zbliżały się dwa pojazdy: samochód pancerny i ciężarówka z 12 radzieckimi żołnierzami, którymi dysponował wracający do Hrubieszowa przewodniczący Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej. Tylko fakt, że w tym miejscu znajdowały się liczne wzniesienia oraz spore lasy, może tłumaczyć dwustronne zaskoczenie.

Ogień otworzyli prawie jednocześnie. Pierwsze pociski wystrzelone przez upowców zapaliły samochód, z którego żołnierze zdążyli jednak wyskoczyć i zająć obronę po obydwu stronach drogi. Wóz pancerny, nie mając możliwości manewru, pędził ostro

do przodu, prowadząc gęsty ogień z cekaemu. To uratowało życie kilku polskim żołnierzom, którzy zostali przedtem schwytani i teraz skorzystali z zamieszania, by zbiec bądź ukryć się w gęstych zaroślach i stogach siana. Przebiecie się samochodu pancernego przez pierścień wroga okupione zostało życiem cekaemisty. Późnym wieczorem wóz dotarł do Hrubieszowa i jego załoga złożyła kolejny meldunek o sytuacji w Wereszynie.

Tymczasem przewodniczący Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej wraz z 10 radzieckimi żołnierzami (dwóch zostało na placu boju) wycofał się w kierunku północno-wschodnim, na Kosmów, i nad ranem również dotarł do Hrubieszowa.

Wstawał mglisty poranek 26 kwietnia. Do Wereszyna zbliżały się dwie grupy żołnierzy. Od północy dwa *Studebakery* z elewami pułkowej szkoły podoficerskiej pod dowództwem pułkownika Sikorskiego oraz dwa samochody z żołnierzami radzieckimi pod dowództwem kapitana Prokopienki, od południowego wschodu zaś 1 batalion porucznika Bogdasa i grupa wypadowa majora Fomina. Spotkali się mniej więcej w środku wsi, przy zniszczonej kolumnie samochodowej. Upowców już nie było.

Oczom żołnierzy ukazał się niesamowity widok. Osiem samochodów spalonych, pozostałe uszkodzone, nie nadające się do użytku. Obok wozów w rowach, na drodze i na polu leżały zwłoki dwu-

dziestu dwóch żołnierzy. W większości bez umundurowania, niektóre ciała częściowo zwęglone. Z gęstych krzewów i stogów wypęzło sześciu żołnierzy, wszyscy ranni — bezsilni świadkowie mordu na kolegach. Wśród przybyłych szmer grozy mieszał się z soczystymi przekleństwami.

Przez dwa dni bataliony wspólnie z żołnierzami radzieckimi czesały lasy i miejscowości wokół Wereszyna. Na ślady wroga jednak nie natrafiono. Dopiero 28 kwietnia pododdziały 1 i 2 batalionu pod dowództwem majora Ojchmana, przy współdziałaniu radzieckich samolotów z Sokala, dopadły w pobliżu Moszkowa liczącą około 40 osób grupę. Doszło do wymiany ognia, podczas której ścigani rozproszyli się i zniknęli w pobliskim lesie.

Znajdujący się na lewym skrzydle atakujących chorąży Matysek ruszył biegiem za liczącą około 15 ludzi grupą. Pociągnął za sobą drużynę Ziółkowskiego oraz kilku innych żołnierzy, wśród których znalazł się Janik. Upowcy wycofywali się pod osłoną gęstego ognia i, mimo iż żołnierze starali się, aby przeciwnik nie zdołał się od nich oderwać, w pewnym momencie nastąpiła dziwna cisza. Wróg zniknął im z oczu. Nie słychać też było strzałów. Żołnierze patrzyli na siebie zdumieni i zaskoczeni. Szli teraz wolno, czujnie, obawiając się sztyletowego ognia. Przeszli sto metrów, dwieście. Ani żywego ducha.

— Muszą tu być, przecież nie zapadli się pod ziemię — zauważył Ziółkowski.

— A właśnie, że się zapadli — stwierdził Matysek.
— Na pewno jest tu gdzieś bunkier. Szukamy.

Niewielka, ale gęsta tyraliera badała każdy krzaczek, każdy pień drzewa. Pościg za pozostałą częścią grupy stopniowo się oddalał. Poczuli się trochę nie-swojo. Niewielu ich jest. Nawet dokładnie nie wiedzieli ilu. Może dwudziestu, może mniej. Gdyby zostali zaskoczeni, mieliby się z pyszna.

Dreptali kolejny już raz nad przypuszczalnym miejscem zniknięcia wroga, gdy nagle przy kępie krzaków jeden z żołnierzy znalazł świeżo urwany guzik. Zalegli.

— Wychodzić! Jesteście otoczeni — krzyknął Matysek.

Odpowiedziała mu cisza. Powtórzył rozkaz dwukrotnie. Nic.

— Obywatelu chorąży, rzucę granat — Janik się zdenerwował.

— Dobrze, rzucaj — Matysek obserwował kępę krzaków.

Rozległ się huk. Poleciały w górę gałęzie i ziemia. Z wydrążonych w ziemi i świetnie zamaskowanych otworów strzelniczych posypały się w stronę żołnierzy pociski z pistoletów maszynowych. Zarzucili otwory granatami. Jeden z nich odstąpił właz, z którego strłci próbowali miotać granaty. Ale żołnierze byli szybsi.

Strzały ucichły. Po kilku minutach z bunkra wyciągnięto 13 zabitych i 2 kontuzjowanych upowców oraz sporo broni i amunicji. Ranni zeznali, że w zasadzce pod Wereszynem brały udział dwie czoty: „Kropiwy” i „Lwa”, liczące około 80 ludzi.

CHOROBROW

Mniej więcej w połowie drogi między Cielążem a Chorobrowem, na wysokości kolonii Ważów, znajduje się niewielkie wzniesienie, do którego właśnie 4 maja 1946 roku w godzinach przedpołudniowych zbliżał się 1 batalion piechoty.

W ostatnich tygodniach żołnierze „pierwszego” bardzo często zmieniali miejsca postoju, stąd nazywali go nawet „wędrującym batalionem”. Przydzielony do pomocy ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej zajmował się głównie ochroną transportów ewakuowanej ludności. Niewdzięczna to była służba. Ciągłe zmiany dyslokacji, trudne warunki bytowania, dalekie od przychylnych spojrzenia wielu mieszkańców ukraińskich wiosek, nierzadko popierane mocniejszym słowem, stała groźba napadu ze strony UPA, próbującej przeszkadzać „podcinaniu” jej egzystencji na tym terenie, wszystko to powodowało napięcie psychiczne żołnierzy, a tym samym wpływało na osłabienie ich czujności.

O tym właśnie myślał dowódca batalionu, porucznik Bogdas, obserwując ze stoku wzniesienia maszerujący pododdział. To kompania pierwsza podporucznika Leona Perelmutera, która wysunęła do przodu dwie drużyny ubezpieczające. Za nią kompania moździerzy 82 mm podporucznika Wojciecha Ożoga i druga kompania piechoty podporucznika Kazimierza Chmiela. Kolumnę zamyka trzecia kompania podporucznika Michała Tarnogrodzkiego.

Cekaemy przydzielono do poszczególnych kompanii piechoty, dlatego też dowódca kompanii cekaemów podporucznik Jerzy Wieruszewski chwilowo jest „bezrobotny”. Maszeruje to z jedną kompanią to z drugą, gawędząc z ich dowódcami. Wszyscy dobrze się znają, byli razem w niejednym boju, w niejednej akcji. Mogą na siebie liczyć.

Mimo iż „lustracja” wypadła pozytywnie, porucznik Bogdas zjeżdża ze wzniesienia zamyślony. Batalion kojarzy się zwykle z pokaźną liczbą ludzi, uzbrojenia i sprzętu. Tymczasem on ma zaledwie ponad 200 żołnierzy. Rozlatuje się obuwie, rzadko kto ma cały mundur, często brakuje rakiet sygnalizacyjnych, nie mówiąc o bateriach do radiostacji. Ludzie są przemęczeni ciągłą służbą, ciągłym stanem gotowości bojowej. Wielki czas, aby nas zmienili, pomyślał Bogdas.

Batalion maszeruje do Chorobrowa, miejscowości, w której przeważa ludność ukraińska. Całe rodziny tutaj mieszkające należą do aktywnych członków UPA, OUN i SKW. Niejednokrotnie żołnierze 5 pułku ścigając upowców zahaczali o Chorobrow, lecz dłużej w tej wiosce nigdy się nie zatrzymali. Teraz 1 batalion szedł tam, aby udzielić pomocy w przesiedleniu ludności ukraińskiej. Akcja miała być przeprowadzona 6 maja.

Zbliżała się pora obiadowa, gdy z jednego z otaczających Chorobrow wzniesień dostrzegli dużą wieś o gęstej zabudowie. W południowej stronie widać było cerkiew, a na zachód od niej — niewielki

kościółek. Z kominów domów unosił się dym, widomy znak gotowanej strawy. Pomiedzy wzniesieniami otaczającymi wioskę wiły się liczne wąwozy o porośniętych krzakami ścianach. Przez wieś przebiegała szeroka droga łącząca Sokal z Hrubieszowem, a od drogi tej odchodziły krótkie wąskie uliczki, wiodące do poszczególnych zabudowań.

Po rozlokowaniu batalionu, wystawieniu patroli i krótkim posiłku porucznik Bogdas zwołał na naradę dowódców kompanii.

— Jutro zaczyna działać Ukraińska Komisja Przesiedleńcza — rozpoczął, kiedy wezwani zajęli miejsca w niewielkiej izbie. — Komisja poda nam nazwiska rodzin przewidzianych do przesiedlenia i my będziemy czuwać nad formowaniem kolumn oraz porządkiem we wsi. Zresztą, co ja wam będę tłumaczył. Znacnie swoje obowiązki. Na jedno tylko chciałbym zwrócić uwagę. Musimy być przygotowani na to, że UPA zechce przeszkodzić tej akcji. Z danych rozpoznania wynika, że właśnie w tej wsi jest spora liczba zakonspirowanych członków podziemia. Możemy być pewni, że sotnie o naszej akcji też już wiedzą. W związku z tym całością sił zajmiemy obronę okrężną na skraju wioski. Najbardziej zagrożony napadem wydaje mi się odcinek południowy. Obsadzi go pierwsza kompania wzmocniona moździerzami. Druga kompania przygotowuje stanowiska na wschodnim skraju wsi, a trzecia od północy i zachodu. — Porucznik Bogdas spojrzał na dowódcę trzeciej kompanii i widząc jego zasępioną minę dodał:

— Macie, poruczniku Tarnogrodzki, najliczniejszą kompanię, a w dodatku są to bojowi chłopcy. Dacie sobie radę. Cekaemy, tak jak w czasie marszu, zostają przy poszczególnych kompaniach jako wzmocnienie — kontynuował. — Wystawić placówki i patrole w rejonach obrony oraz urządzić stanowiska dla broni maszynowej. Do wieczora ma być wszystko gotowe. Czy są pytania? Nie ma. W takim razie dziękuję. Koniec odprawy.

Porucznik Tarnogrodzki wyszedł z odprawy zamyślony. Najdłuższy odcinek obrony przypadł jego kompanii. Cóż z tego, że miał nieco więcej ludzi niż pozostałe kompanie strzeleckie. Za to odcinek obrony dwukrotnie większy. Gdy podchodzili pod Chorobrów, przypatrzył się dokładnie położeniu wsi. Teraz zastanawiał się, jak najlepiej rozmieścić placówki obronne i nie dawał mu spokoju lasek ciągnący się jakieś 600 metrów od wioski, przez który ponadto biegła szosa. Dobre miejsce do koncentracji upowców, a przy tym umożliwiające wgląd w zajęte przez wojsko pozycje. Żeby mieć chociaż jeden moździerz na tym kierunku, westchnął. Niestety dla dowódcy batalionu odcinek południowy jest ważniejszy. Trzeba ten kierunek zamknąć cekaemem i erkaemem, postanowił.

Kompanie zajmowały wyznaczone odcinki obrony. W położonych na skraju wioski zabudowaniach rozmieszczono placówki, przeważnie w składzie drużyny, urządzono stanowiska ogniowe dla broni maszynowej i moździerzy. Tarnogrodzki poprosił

podporucznika Ozoga, aby uwzględnił w swoich kalkulacjach również kierunek północny. Ten jednak bezradnie rozłożył ręce. Zupełny brak możliwości ostrzału, zupełny brak widoczności. Musiałby zmienić stanowiska moździerzy, a tego bez zgody dowódcy batalionu nie wolno mu zrobić.

Pierwsza noc minęła spokojnie.

Piątego maja przystąpiono do prac związanych z przygotowaniem transportu przesiedlanych. Płacz i przekleństw było przy tym co niemiara, lecz żadnych poważniejszych incydentów nie zanotowano. W ferworze tych przygotowań ani dowódca batalionu, ani dowódca kompanii nie pomyśleli o wysłaniu patroli na przedpola wioski, nikt też nie zwrócił uwagi, że w ciągu dnia ruchliwą z reguły szosą od północy nie nadjechała żadna furmanka, ani nie nadszedł żaden człowiek.

Chorobrów układał się do snu, ostatniego snu dla ludności ukraińskiej w tej wiosce. Po sprawdzeniu placówek i patroli na swoje kwatery powrócili też dowódcy kompanii.

Podporucznik Tarnogrodzki nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok. W końcu wstał. Zapalając papierosa spojrzął na zegarek. Minęła już północ. Czuł jakiś niepokój. Żeby ta noc już się skończyła. W dzień odstawią chłopów z rodzinami i mieniem do Zabuża i przemaszerują do garnizonu, do Waręża. Ich funkcje przejmie drugi batalion.

Dalsze rozmyślania Tarnogrodzkiego przerwał intensywny błysk i następujący po nim potężny

grzmot. Burza, pomyślał w pierwszej chwili, pomijając zupełnie fakt, że pomruków nadchodzącej nawałnicy nie słyszał. Nie przebrzmiał jeszcze pierwszy grzmot, a podporucznik usłyszał serie z broni maszynowej i wybuchy ręcznych granatów. Wskoczył w saperki, chwycił pas z pistoletem. Wybiegł na podwórze. Za nim sunął skokami jego łącznik z pistoletem maszynowym. Zewsząd dochodziły gęste serie strzałów i wybuchy ręcznych granatów.

— Napad, chyba ze dwie sotnie! — stwierdził Tarnogrodzki. — Pilnuj kancelarii, ja idę do kompanii — polecił łącznikowi.

Dochodziła północ, gdy plutonowy Myśliwiec ze swoją drużyną opuścił kwaterę i ruszył w stronę placówki nr 1 przy szosie. Przeszli spokojnie około pół kilometra i zostali zatrzymani przez wartownika. Wymienili hasła i pomaszerowali dalej. Wkrótce znaleźli się za ostatnimi zabudowaniami wioski. Tutaj w przydrożnych rowach i prowizorycznych wnękach znajdowały się stanowiska jednej z placówek 3 kompanii strzeleckiej. Myśliwiec przywitał się z Ziółkowskim, którego miał właśnie zastąpić.

— Jest coś nowego? — zapytał.

— Parę minut temu, pod laskiem, jeden z żołnierzy zauważył błysk światła. Jakby zapalka lub latarka. Inni tego nie potwierdzili.

— Słuchaj, a gdzie cekaem? Szedłem i jakoś go nie zauważyłem.

— Jakieś trzydzieści metrów z tyłu, na kopcu z ziemniakami. Stamtąd ma dobre pole ostrzału.

— To trzymaj się.

— Cześć.

Drużyna Ziółkowskiego odeszła.

Myśliwiec po rozmieszczeniu żołnierzy wpatrywał się w przedpole. Pomimo iż noc była bezchmurna, niewiele widział. Zarysy wzniesień załamujące się na ścianach wąwozów, krzaki sprawiające wrażenie kryjących się za nimi ludzi, a przede wszystkim ta ściana milczącego lasu, ponura, nieprzystępna, zła. Podczołgał się do niego jeden z żołnierzy.

— Panie plutonowy, tam chyba coś się rusza. — Pokazał ręką w kierunku wylotu jednego z wąwozów.

Myśliwiec wyteżył wzrok. Rzeczywiście, coś się ruszało. Wpatrywał się uparcie w niewyraźny cień, który stopniowo przybierał kształt ludzkiej sylwetki. Za nią pojawiła się druga i trzecia. Sięgnął po raketnicę. Nie zdążył jej wznieść w górę, gdy u wylotu wąwozu ukazał się warkocz ognia i z przeraźliwym zgrzytem pędził w stronę placówki. Żołnierze wcisnęli głowy w płytkie dołki i chwasty. Ostonili je rękami. Warkocz ognia, którego gorąc poczuli każdym centymetrem ciała, przeleciał nad nimi i wyrznął w stojącą w pobliżu stodołę. Potężny płomień i grzmot wcisnął ich głębiej w ziemię. Stodoła stanęła w płomieniach. Gdy podnieśli głowy, ich oczom ukazał się pędzący w stronę wioski upowcy.

Placówka powitała ich strzałami. Ale tak słabymi w

porównaniu z ogniem przeciwnika, że biegnący nawet się nie zatrzymali. Byli już zupełnie blisko zajmowanych przez żołnierzy stanowisk. Myśliwiec wsłuchał się w odgłos walki. Czegoś mu brakowało. Cekaemu! Dlaczego on nie strzela? Odwrócił głowę. W świetle płonącej stodoły nie dostrzegł ciężkiego karabinu. Jednocześnie jednak zdał sobie sprawę, że na tle ognia jego żołnierzy widać jak na dłoni. Długo tu się nie utrzymamy, szkoda ludzi, stwierdził.

Od strony lasu znowu ukazał się warkocz ognia. Gdzie upadnie? Przeleciał nad nimi. We wsi buchnęły płomienie.

Myśliwiec się zdecydował. Dopadł erkaemu.

— Wycofać się! Skokami po dwóch! Będę ostatni!

Odepchnął erkaemistę i przyciągnął do siebie torbę z magazynkami. Naprowadził lufę na cel. Nie musiał specjalnie wybierać, upowców wszędzie było pełno. Nacisnął spust. Erkaem zadrgał rytmicznie, dając znać o swojej pracy. Dwóch napastników skożłowało i wypuściło broń z ręki. Myśliwiec przeniósł serię w lewo, potem gwałtownym ruchem w prawo. Omiałał przedpole długimi seriami. Aby tylko jego ludzie mogli się wycofać. To już długo nie potrwa. Zaraz do boju powinna wejść kompania, a potem reszta batalionu. Będzie łatwiej.

Działał jak w transie. Zmieniał jeden magazynek po drugim. W przedpiersiu jego stanowiska gęsto biły pociski. Grzmotnął granat. Odłamki zafurczały nad

głową. No, wystarczy, trzeba pomyśleć o sobie. Rozejrzył się na boki. Kolegów już nie było. Wycofali się wszyscy. Chwała Bogu.

Lecz co to? Z prawej i z lewej migają jakieś postacie, plują w jego kierunku ołowiem. Upowcy! Jestem okrażony! Poczekajcie, dranie, tanio się nie dam. Włożył ostatni dysk do erkaemu. Przydusił ogniem tych z prawa, w lewo rzucił granat. Parę sekund spokoju. Coś pacnęło z tyłu. Odwrócił głowę. Ostatnim błyskiem świadomości zarejestrował trzonkowy niemiecki granat.

Erkaem Myśliwca więcej się nie odezwał. Striści wzdłuż szosy wchodzili między pierwsze zabudowania Chorobrowa.

Podporucznik Tarnogrodzki poderwał tych żołnierzy swojej kompanii, którzy nie mieli służby na placówkach i w patrolach, i wzdłuż szosy ruszył w kierunku północnego skraju wsi, skąd szło główne uderzenie wroga. Nie dotarli jeszcze do ostatnich zabudowań, a już natknęli się na żołnierzy placówki nr 1 prowadzących ogień do nacierających upowców. Tarnogrodzki zaczął organizować obronę, mając nadzieję, że kiedy jako tako uporządkuje szeregi, pójdą do ataku.

Nie udało się. Byli już prawie gotowi, już mieli ruszać do przodu, kiedy na niebie ukazał się ognisty warkocz i z przeraźliwym wizgiem pomknął w ich stronę. Zalegli. Krwisty piorun uderzył w sam śro-

dek szosy, blisko żołnierzy kompanii. Wyglądało to, jakby do kowalskiego pieca wpadła bomba, rozsypała gorący koks na wszystkie strony, przydusiła żarem, hukiem, kawałkami żelastwa i kamieni. Zanim się podnieśli, z trzech stron doleciało ich głośnie „Urra” wroga. O żadnym ataku nie mogło być mowy. Wycofywali się w ogniu walki. Sanitariusz z jednym z żołnierzy ciągnęli starszego strzelca Tadeusza Michałaka, dla którego pomoc medyczna okazała się jednak zbyt późna.

Porucznik Bogdas spojrzął na zegarek. Pomimo nocy światła było dosyć. Płonęły zabudowania, ryk krów, kwik świń i grzechot ptactwa mieszał się z seriami broni maszynowej i wybuchami granatów. Już po pierwszej. Ile trwa walka? Pół godziny, a może więcej? Upowcy zaatakowali ze wszystkich stron, lecz z natężenia ognia i z meldunków nadchodzących od dowódców kompanii wynika, że główne siły skupili na kierunku północnym i atakują wzdłuż szosy. Na innych odcinkach tylko wiążą siły batalionu. Chcą rozpołować wieś, rozciąć naszą obronę, pomyślał Bogdas.

— Łącznicy do mnie! — Wyrośli jak spod ziemi. — Wy dwaj do pierwszej i drugiej kompanii. Niech każdy z dowódców przyśle mi po dwie drużyny strzeleckie. Mają tu być za dziesięć minut. Ty do dowódcy moździerzy. Niech zmieni stanowiska, by

mógł prowadzić ogień na kierunek północny. Wykonać!

Tymczasem napór przeciwnika wzdłuż szosy wzrastał się. Do akcji wchodziły coraz to nowe roje. Na niebie w regularnych odstępach pojawiały się warkocze ognia rakiet własnej produkcji. Ich charkot, skrzypienie i płomienie czyniły niesamowite wrażenie na żołnierzach. Kompania Tarnogrodzkiego stopniowo odstępowała w głąb wsi. Odległość między ustępującymi żołnierzami a napierającym wciąż wrogiem malała z każdą chwilą. W ciągłym użyciu były ręczne granaty. Padł plutonowy Czesław Kloc.

Bogdas spieszył się. Na czele czterech drużyn przemykał wzdłuż płotów w kierunku kompanii Tarnogrodzkiego. Wiedział, że tam musi być ciężko, bardzo ciężko. Na innych odcinkach też trwała walka, ale jej natężenie było znacznie mniejsze. Wreszcie dobiegli zdyszani i natychmiast wkroczyli do boju. Napór przeciwnika został powstrzymany. Ale na jak długo?

— Zaraz do walki powinny włączyć się moździerze — poinformował Bogdas Tarnogrodzkiego. — Ale to wszystko mało. Dlaczego z drugiego batalionu nie nadchodzi pomoc — denerwował się. — Przecież to zaledwie siedem kilometrów.

— Obywatelu poruczniku, a gdybyśmy tak zamarkowali nadchodzącą odsiecz? Może dadzą się nabrać? — zaproponował Tarnogrodzki.

— Jak to sobie wyobrażacie?

— Wyślemy jeden pluton, aby uderzył z tyłu. Najlepiej pierwszy, z mojej kompanii. Tam większość stanowią moi fizylierzy.

— Zgodzi! — Bogdas nie zastanawiał się długo.

Wycofany z walki pluton zebrał się poza zasięgiem ognia wroga. W zastępstwie rannego dowódcy plutonu prowadzić miał sam Tarnogrodzki.

Przeskakiwali przez płoty, omijali obejścia, aby jak najszybciej znaleźć się na tyłach nacierających. Szczęśliwie nie napotkali nieprzyjaciela na swojej drodze. Odbili już dosyć daleko od zabudowań, gdy wśród upowców zaczęły rozrywać się pociski. To moździerze wkroczyły do akcji.

Tarnogrodzki postanowił wykorzystać ten moment. Podciągnął swój pluton jak najbliżej nieprzyjacielskich linii, rozwinął w gęstą tyralierę i zakrzyknął ile sił w płucach.

— Pierwsza kompania na wprost, druga z lewej... Moździerze, celownik.

Upowcy nie spodziewali się ataku z tej strony. Przekonani, że żołnierze wezwali posiłki, stracili ochotę do dalszej walki. Ich ogień cichł stopniowo, wreszcie jak po każdej akcji rozbiegli się w różnych kierunkach. Batalion nie miał dostatecznych sił, aby podjąć pościg. Akcja mająca na celu przeszkodzenie w przesiedlaniu ludności ukraińskiej z Chorobrowa spaliła na panewce.

HASŁO NA DZISIEJSZĄ NOC

Około dwudziestu kilometrów na południe od Hrubieszowa ciągnie się równoleżnikowo pasmo lasów, przetykane mniejszymi lub większymi połaciami pól uprawnych i bagnistymi dolinkami strumyków. Lasy mieszane, z przewagą drzew liściastych, o gęstym poszyciu ciągną się od Bugu do Marysina na długości ponad trzydziestu pięciu kilometrów. Ich szerokość waha się od półtora kilometra w rejonie Mołożowa do czterech—pięciu kilometrów w rejonie Dołhobyczowa. Pocięte licznymi wzniesieniami i wąwozami stanowią trudny teren do penetracji, łatwy natomiast do ukrycia się i budowy schronów w porośniętych gęstym poszyciem zboczach wzniesień.

Blisko zachodniego skraju tego pasma, dwa kilometry od miejscowości Adalina, znajduje się folwark Miętkie i mniej więcej w tym samym miejscu przebiega granica podziału stref wpływów pomiędzy OUN—UPA i WiN uzgodniona na konferencji przedstawicieli obu tych organizacji 1 kwietnia 1946 roku. Tutaj właśnie 18 maja 1946 roku wyznaczili sobie spotkanie przedstawiciele władz tych podziemnych organizacji.

Ze strony WiN do folwarku Miętkie przybyli: szef propagandy okręgu lubelskiego „Ostoja”, szef Inspektoratu Zamojskiego kapitan Stanisław Książek („Wyrwa”), komendant obwodu hrubieszowskiego Józef Dąbrowski („Azja”), dwaj przedstawiciele z

powiatu Tomaszów Lubelski oraz pięciu nie wymienionych z funkcji i nazwisk oficerów.

W skład delegacji OUN—UPA wchodzili: referent propagandowy okręgu III OUN Teodor Harasimiuk („Rawicz”, „Dunajski”), jego zastępca „Pewnyj” („Jawir”) i doktor Zacharczuk („Chmurnyj”). Ubezpieczenie stanowiły oddziały WiN i UPA liczące łącznie około 100 ludzi. W czasie narady, która trwała około 10 godzin, zapadła między innymi decyzja przeprowadzenia wspólnej akcji wojskowej na Hrubieszów.

Uderzenie na zajmowane przez polskich żołnierzy miasto miało przynieść obydwu ugrupowaniom konkretne korzyści.

OUN—UPA chodziło głównie o zdobycie dokumentacji Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej, co w konsekwencji wstrzymałoby na pewien okres repatriację ludności ukraińskiej, natomiast winowcy chcieli za pomocą tej akcji zaakcentować swą obecność w tym rejonie kraju przed mającym odbyć się 30 czerwca referendum. Spore znaczenie miał mieć również fakt zmanifestowania wobec społeczeństwa jedności działań zbrojnego podziemia przeciwko ludowej władzy.

Opracowując plany wspólnego ataku przedstawiciele OUN—UPA i WiN uzgodnili, że rozpoznaniem sieci posterunków i patroli zajmą się specjalne bojówki, które w dniu napadu wejdą do miasta w polskich mundurach lub po „cywilnemu” i zajmą skrycie stanowiska przed wybranymi obiektami.

Przez Hrubieszów (z zachodu na wschód) płynie

rzeczka Huczwa, o szerokości około 40 metrów, z niskimi brzegami, które porastały gęste zarośla. Po obydwu stronach rzeki ciągnęły się kilkunastometrowe pasma łąk zakończone stromymi, około dwumetrowymi, skarpami. Po stronie północnej (niższej w stosunku do południowej), w odległości około kilometra od Huczwy, za parcelami, na których stały drewniane domki jednorodzinne, znajdowały się koszary 5 pułku i komenda 32 odcinka WOP. Po stronie południowej, na wzniesieniu w kształcie ściętego do połowy stożka, rozciągało się centrum miasta. Mieścił się tutaj Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, Powiatowa Komenda Milicji Obywatelskiej, zabytkowy dworek „Du Chateau”, w którym rozlokowała się radziecka jednostka specjalna, Komitet Powiatowy PPR, siedziba Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej i Komenda Miasta. Obie strony miasta łączył drewniany most.

Mając błogosławieństwo naczelnych władz WiN i OUN—UPA w Polsce, dowódca kurenia „Pryrwa” oraz „Wyrwa” i „Ślepy” wyznaczyli termin ataku. Miał on nastąpić o północy 27 maja 1946 roku. Wywiad WiN i UPA ustalił, że w mieście znajduje się około 350 ludzi pod bronią, w tym jedna trzecia to hrubieszowski garnizon 5 pułku. Dowódcy oddziałów WiN zapewnili „Pryrwę”, że 5 pułk przeciwko nim nie wystąpi.

W akcji na Hrubieszów miały wziąć udział wszystkie sotnie kurenia „Pryrwy”, a więc „Dudy”, „Dawyda” i „Jara”, sotnia „Czausa”, część bojówek ukraiń-

skiej Służby Bezpieczeństwa pod dowództwem „Zenona” oraz należący do WiN oddział „Ślepego” — w sumie około 450 dobrze uzbrojonych ludzi. Szczegóły akcji, w której niebagatelną rolę miało odgrywać zaskoczenie, ustalono podczas koncentracji oddziałów UPA i WiN w lesie koło Terebina 27 maja wieczorem, a więc bezpośrednio przed rozpoczęciem ataku na Hrubieszów.

Tymczasem w Hrubieszowie nikt nawet nie przypuszczał, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad miastem.

Przed godziną osiemną porucznik Leon Wilbrand wszedł do pokoju oficera inspekcyjnego pułku. Przywitał się z podporucznikiem Marianem Flemingiem, od którego miał przyjąć służbę, i chciał podzielić się z nim wrażeniami z mijającego dnia.

— Ale dzisiaj ruch w mieście — zaczął z niepokojem w głosie.

— Co chcesz, przecież to dzień targowy. Okazja, żeby coś sprzedać i kupić — przerwał mu Fleming.

— Odniosłem wrażenie, że nie wszyscy przybyli tu w celach handlowych. Zbyt wielu ich tu się kręci. Nie podoba mi się to wszystko.

Fleming nie odpowiedział, zajęty przygotowaniem do przekazania służby, więc Wilbrand też umilkł. Zamyślony spoglądał w okno, skąd rozciągał się widok na tonące w zieleni parterowe drewniane domki i dalej na centrum miasta. Niełatwą będą miał

dzisiaj służbę, pomyślał. Tym bardziej że do pułku przyjechał z Lublina zastępca dowódcy okręgu do spraw polityczno-wychowawczych pułkownik Jekiel. Na pewno zechce wszędzie zajrzeć, a może nawet ogłosi alarm ćwiczebny.

— Słuchaj — Wilbrand znów zwrócił się do Fleminga. — Jekiel przyjechał tylko „pancerką”, czy miał jeszcze ochronę?

— Tylko „pancerką”. Po co mu ochrona? Przecież upowcy nie mają armat. A dlaczego pytasz? — zainteresował się podporucznik.

— Spotkałem w mieście kilka grupek uzbrojonych żołnierzy. Oni nie służą w naszym pułku. Tych, przynajmniej z widzenia, znam wszystkich. Pomyślałem, że to może z ochrony okręgu.

— Ciekawe. A może to wopiści? Mieli dostać uzupełnienie. Tak czy inaczej musisz poinformować szefa sztabu o swoich spostrzeżeniach. Chodźmy do Fomina. Jakie hasło przyniosłeś z Komendy Miasta na dzisiejszą noc? — spytał jeszcze.

— „Zamek”, odzew „Zamość”.

Fleming i Wilbrand zameldowali się u Fomina. Zafalowany nieoczekiwaną inspekcją zastępcy dowódcy okręgu lubelskiego szef sztabu pułku nie przejął się zbyt wiele informacjami przekazanymi mu przez oficerów. Udzielił Wilbrandowi wskazówek związanych z pełnieniem służby przez najbliższą dobę i polecił mu, aby skontaktował się telefonicznie z WOP-em, Urzędem Bezpieczeństwa i milicją

w celu wyjaśnienia, co to za żołnierze „szwendają się” po mieście.

Wilbrand po rozmowach telefonicznych z milicją, bezpieczeństwem i WOP-em nie był ani o jotę mądrzejszy. Dyżurni placówki UBP stwierdzili, że w mieście jest spokój, a ludność która przybyła na targ, opuściła już Hrubieszów. Żadnych podejrzanych grup nie zauważono. Jedynie oficer dyżurny Komendy WOP wspomniał, że oni też się zaniepokoiili wzmożonym ruchem „wojska” w mieście i postawili w stan alarmowy pluton ochrony. Porucznik zameldował o tym wszystkim Fominowi, który poradził mu, żeby miał „oczy i uszy otwarte”.

Wilbrand wziął do ręki tabelę służb. Służbę oficera operacyjnego pełnił podporucznik Wojciech Szedel z kwatermistrzostwa pułku. W gotowości bojowej pozostawał pluton łączności — kilkunastu żołnierzy przeważnie nie biorących udziału w akcjach bojowych. Warta wystawiona z batalionu szkolnego. Jaki tam batalion, westchnął Wilbrand. Cztery plutony szkolne, razem około stu ludzi. Raczej kompania nie batalion. W dodatku większość nie ostrzelana. No cóż, trzeba rzeczywiście mieć „oczy i uszy otwarte”.

Zapadł już zmierzch, gdy z lasów położonych na południowy wschód od Terebina zaczęły wysuwać się czoty i plutony, mające zaatakować Hrubieszów. W wioskach na trasie przemarszu dołączali do nich

członkowie SKW i „samoobrony” WiN. Przed Hrubieszowem, w ustalonych punktach, łącznicy poszczególnych grup UPA i WiN czekali na swoje oddziały, aby je rozprościć na wyznaczone stanowiska w mieście. Tuż przed północą, pod osłoną lasów i ogrodów od strony Pobierzyna, upowcy i winowcy gromadzili się w punktach wytypowanych do ataku. Raz tylko, przy ulicy Kilińskiego, grupa z WiN natknęła się na patrol z Komendy Miasta, ale podała hasło i poszła bez przeszkód w swoją stronę. Żołnierze z patrolu w słabym świetle dalekiej latarni nie spostrzegli na rękawach na moment zatrzymanych biało-czerwonych opasek — znaku rozpoznawczego „chłopców z lasu”.

Niby wszystko przebiegało zgodnie z planem, ale „Pryrwa” wiedział, że do ataku nie przystąpią o północy. Mieli małe opóźnienie, gdyż w czasie marszu odpadło koło od jadącej na czele czoty technicznej furmanki z rakietami, a wcześniej ustalono, że atak rozpoczną właśnie rakiety.

W ciemnościach i ciszy poszczególne roje czoty technicznej ustawiały tę groźną broń do odpalania. Należało wybrać nieco ziemi, następnie ustawić prymitywne kozły i na nich pod odpowiednim kątem położyć raketę. Urządzono trzy stanowiska, wycelowane w koszary 5 pułku, siedzibę radzieckiego batalionu i budynek PUBP. Wydzielone grupy przerwały też łączność na liniach zewnętrznych, a z chwilą rozpoczęcia ataku na liniach wewnętrznych, poprzez zdemolowanie centrali telefonicznej na

poczcie. Newralgiczne punkty w mieście obsadzono bronią maszynową. Jedno ze stanowisk cekaemu umieszczono w ogrodzie koło krzyża, mniej więcej 50 metrów od południowego wylotu mostu. Z tego miejsca można było zaryglować ogniem sam most i ulicę za mostem na odległość co najmniej 300 metrów.

Wybrane przez zbrojne podziemie obiekty bezpośredniego ataku znajdowały się na obwodzie umownego koła, którego średnica wynosiła około 600 metrów. Były to budynki murowane, jednopiętrowe. Niewielka odległość między nimi stwarzała napastnikom dodatkowe możliwości operowania siłami i środkami walki. Aby nie było problemów z rozróżnianiem, kto swój, a kto obcy, upowcy nosili na lewej ręce białe opaski, a członkowie WiN na prawej opaski biało-czerwone.

Około godziny pierwszej dowódca czoty technicznej zameldował „Pryrwie”, że rakiety gotowe są do odpalenia. „Pryrwa”, rozdrażniony opóźnieniem akcji, skinął tylko głową, co miało oznaczać zgodę na otwarcie ognia.

Trzy ogniste komety ze zgrzytem pomknęły ku wybranym obiektom. Trafiła tylko jedna, ta wycelowana w bramę wiodącą na teren budynku mieszczącego Urząd Bezpieczeństwa. Druga wymierzona w siedzibę batalionu radzieckiego upadła przed domem, w którym mieścił się Komitet Powiatowy PPR, a trzecia, skierowana w koszarę 5 pułku, nie doleciała do nich i wybuchła na terenie posesji prywat-

nej. Teraz pod osłoną cekaemów i erkaemów połączone oddziały zbrojnego podziemia uderzyły na budynki Komitetu Powiatowego PPR, Ukraińskiej Komisji Przesiedleńczej, Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Komendy Powiatowej MO i batalionu radzieckiego. Najkrócej bronił się Komitet Powiatowy PPR. Przebywało w nim tylko dwóch członków ZWM uzbrojonych w karabiny: Aleksander Dors i Władysław Marciniak. Obaj zginęli.

Załogi pozostałych obiektów walczyły zawzięcie, ale siły ich były tak słabe, poza jednostką radziecką, że o dłuższym przeciwstawianiu się wrogowi nie mogło być mowy. Jedyne pomoc z zewnątrz mogła je uratować

Wybuch rakiety zastał porucznika Wilbranda na kontroli wart. Zobaczył słup ognia, wyrastający nagle w ogrodach niezbyt odległych od koszar, i rzucił się biegiem w stronę dyżurki. Wpadł do pokoju w momencie, gdy jego pomocnik tłumaczył coś przez telefon, wyrwał mu z rąk słuchawkę i przedstawił się:

— Oficer inspekcyjny, porucznik Wilbrand.

— Co to za wybuchy i strzelanina? — poznał głos dowódcy pułku.

— Nie wiem, chyba napad, wróciłem dopiero z kontroli wart — tłumaczył się.

— To dzwońcie do miasta i zorientujcie się.

— Tak jest. Rozkaz.

Połączył się z Komendą Miasta. Dyżurny przestraszonym głosem zdążył tylko powiedzieć: „Napad”, i łączność się urwała. Kolejne próby połączenia się z miastem nie przyniosły rezultatów. Aparaty milczały. Pułkownik Sikorski dowiedziawszy się o tym zarządził natychmiastową odprawę oficerów.

Śpiącego w swojej kwaterze podporucznika Fleminga obudził wybuch rakiety. Wyrzwał przez okno. Kilkadziesiąt metrów od domu, w którym mieszkał, rozprzestrzenił się ogień. Ubrał się błyskawicznie i wybiegł na ulicę. Pięćset metrów, jakie go dzieliły od bramy koszar, przemknął jak strzała. Popędził w stronę bloku zajmowanego przez batalion szkolny. Żołnierze już nie spali. Zarządził alarm, przy pomocy podoficerów wystawił placówki ubezpieczające od strony północnej i wschodniej, skąd mógł pojawić się wróg, po czym udał się do sztabu. Tam zastał już pułkownika Jekiela, dowódcę, szefa sztabu oraz innych oficerów. Zameldował o poczynionych przedsięwzięciach.

Pułkownik Sikorski zastanawiał się, jak ma postąpić, i nie krył przed swymi współpracownikami nurtujących go wątpliwości.

— Nie wiadomo, co się dzieje w mieście — mówił. — Nie mamy łączności... A strzelanina narasta. To na pewno napad. Ale na kogo? Jakimi siłami? Co bandyci zamierzają? Czy mają w planie uderzenie na koszary? A my mamy tu zaledwie garstkę ludzi. Je-

dynie dwa plutony strzeleckie z batalionu szkolnego i zwiadowcy są jako tako przygotowani do ulicznego boju. Jednak to świeży żołnierz i nie wiadomo, jak się zachowa w toku walk ulicznych, zwłaszcza w nocy. Reszty możemy użyć co najwyżej do obrony koszar, ale czy zdołają odeprzeć bezpośrednie uderzenie? Pierwszy i drugi batalion w Warężu. Daleko. Dopiero przed południem mogliby tu dotrzeć. Za późno. I co ja mam za wojsko! — zdenerwował się. — Niby pułk, a do walki zaledwie kilkudziesięciu ludzi. Ale rozliczać mnie będą z dowodzenia pułkiem. Poza tym w mieście giną ludzie. — Wreszcie zdecydował się i zaczął wydawać rozkazy: — Poruczniku Fleming, weźmiecie swój pluton i zorientujecie się, co dzieje się w mieście. Majorze Fomin, pozostałych żołnierzy wykorzystacie do obrony koszar. Kapitanie Artychowicz, we wszystkich trzech bramach postawicie swoją artylerię. Wykonać! Poruczniku Kotwicki, postawić w stan alarmu bataliony w Warężu, ale do Hrubieszowa na razie nie wzywać. Niech trwają w pogotowiu. Przynajmniej część bandytów na pewno pójdzie na południe.

Czekając przed sztabem na pluton, który miał przyprowadzić plutonowy Jan Strzyżewski, Fleming zastanawiał się, którądy iść. Most jest prawdopodobnie przez przeciwnika zaryglowany ogniem lub zniszczony, a Huczwy jeszcze ze swoim plutonem nie forsował. Prąd jest za silny, stwierdził. Żołnierze mogą się pogubić. Postanowił iść na most.

Po wyjściu z koszar Fleming uszykował pluton ko-

lumienkami po obydwu stronach ulicy i kilka metrów do przodu wysłał Strzyżewskiego z jednym żołnierzem. Marsz ubezpieczony, broń gotowa do otwarcia ognia. Posuwali się ostrożnie. Najpierw wzdłuż muru koszar do skrzyżowania ulic, potem skręcili w lewo, w kierunku na most. Mieli lekko z górki, ale pluton nie przyspieszał. Fleming chciał, aby młody żołnierz miał czas na osłuchanie się ze zgiełkiem walki, na wczucie się w warunki boju. W centrum miasta strzelanina nie ustawała. Powiększała się też łuna pożaru.

Kilkadziesiąt metrów przed mostem do porucznika podbiegł żołnierz wysłany przez Strzyżewskiego.

— Ktoś nadchodzi — zameldował.

Zalegli. Po chwili zobaczyli Strzyżewskiego, któremu towarzyszył porucznik Jaruzelski.

— Dokąd idziecie? — spytał.

— Z rozkazu dowódcy mamy rozpoznać sytuację w mieście.

— Dobrze, idę z wami. Trzeba sprawdzić, co z żołnierzami z Komendy Miasta.

Ostrożnie wchodzili na most. Kolumienkami przy barierkach. Strzyżewski w przodzie, Fleming z Jaruzelskim na czele plutonu. Przeszli. Uskoczyli od razu pod płoty ogródków, pod ściany domów. Żeby mieć jak najlepszą osłonę, żeby być jak najmniej widocznym. Na górze trwała strzelanina. Do nich jednak nikt nie otworzył ognia. Podeszli do rozwidlenia ulic. Skręcili w prawo, pod wzniesienie, w kierunku najgęściejszej palby. Przesuwali się kilkanaście me-

trów od zamaskowanego stanowiska cekaemu. Jedna długa seria i wielu zostało na ulicy. Ale cekaem milczał. Przeszli jeszcze pięćdziesiąt metrów i skręcili w lewo, w kierunku budynku Komendy Miasta.

W sztabie pułku nerwowa atmosfera. Pododdziały placówkami obstawiły teren koszar. Za broń chwycili wszyscy. Kucharze, szewcy, koniuchy. W bramach ogrodzenia szczerzą swe krótkie pyski pułkowe „siedemszóstki”. Wprawdzie kapitan Artychowicz nie bardzo wie, jak one będą prowadziły ogień, gdyż kilkanaście metrów od bram, po drugiej stronie ulicy, są zabudowania, ale obrona wygląda groźnie.

Pułkownik Jekiel nerwowo spaceruje po gabinecie dowódcy. Zmarszczone brwi, ściągnięta twarz. Widać, że jest zdenerwowany. Pułkownik Sikorski wpatruje się z uporem w ebonitową skrzyneczkę aparatu telefonicznego, jakby chciał go zmusić do wydania dźwięku. Fomin z Kotwickim patrzą na plan miasta i wymieniają po cichu uwagi.

— Dlaczego nie ma żadnej wiadomości od patrolu? — Nie wytrzymał Jekiel.

— Widocznie jeszcze niewiele wiedzą. — Dowódca pułku mimo wszystko zachowuje spokój.

— Mogliby jednak przesać jakiś meldunek. — Nie ustępował Jekiel.

Sikorski nie odezwał się, natomiast Fomin cicho mruknął do Kotwickiego:

— Przecież kabla ze sobą nie ciągną.

Porucznik Kotwicki wyprostował się, stuknął obcasami i zwrócił się do Jekiela:

— Obywatelu pułkowniku, proszę o wasz samochód pancerny. Pojadę do miasta.

Jekiel wyraził zgodę. Kotwicki wypadł z gabinetu i pobiegł do stojącego przed sztabem samochodu. Kierowca i kaemista byli na swoich stanowiskach.

Ruszyli. Jechali pewnie, nie obawiając się zasadzki. Wszak pluton Fleminga poszedł dużo wcześniej, więc musiał oczyścić drogę. Zresztą na ten pojazd broń maszynowa nie wystarczy.

Wjechali na most, gdy znienacka uderzyła w nich seria z cekaemu. Zabębniło po płytach pancernych i porucznik ze zdziwieniem spostrzegł trzy przestrzeleny w płycie czołowej osłony karabinu maszynowego. Jego kaemista nie pozostał dłużny. Pojedynek ogniowy karabinów maszynowych trwał dłuższą chwilę, wreszcie ukryty w ogrodzie cekaem umilkł. Kotwicki skierował samochód w stronę Komendy Miasta.

Kiedy „Pryrwa” usłyszał strzały od strony mostu, zorientował się, że pododdziały 5 pułku wkraczają do akcji. Do tej chwili wszystko przebiegało zgodnie z planem napadu, teraz jednak napastnik znalazł się w gorszym położeniu. Upowcy zdołali wprowadzić zagarnąć siedzibę PPR i podpalić budynek Urzędu Bezpieczeństwa, ale twardy opór stawili im milicjanci z Komendy Powiatowej MO i nie przynosiła rozstrzygnięcia wymiana ognia pod budynkiem Komisji Przesiedleńczej z listami osób przewidzia-

nych do repatriacji. Wejście do walki żołnierzy, którzy przedarli się przez ryglowany cekaemem most, stało się dzwonkiem alarmowym dla „Pryrwy”. W obawie przed pogromem swojego oddziału nakażał szybki odwrót.

Porucznik Kotwicki dojechał do Komendy Miasta. Fleminga z plutonem żołnierzy już tu nie było. Udał się w kierunku siedziby UB. Porucznik Jaruzelski z żołnierzy broniących Komendy Miasta zorganizował grupę szturmową i teraz dołączył do samochodu pancernego. Ruszyli razem za plutonem Fleminga. Dogonili go niedaleko płonącego budynku Urzędu Bezpieczeństwa. Zagwizdały jeszcze nad nimi pociski uciekających napastników, ale kaemista z wozu pancernego uciszył ich kilkoma długimi seriami. Część żołnierzy przystąpiła do ratowania płonących akt, a pozostali wspólnie z żołnierzami Czerwonej Armii rozpoczęli patrolowanie ulic i przeszukiwanie poszczególnych domów.

Wstawał świt 28 maja 1946 roku. Dopalał się budynek Urzędu Bezpieczeństwa. Z krótkiej pogoni za wrogiem wrócił samochód pancerny Jekiela z poległym w walce kaemistą.

Kiedy nastał dzień i dowódca pułku zorientował się w sytuacji, zarządził pościg za napastnikami. Do akcji miał się włączyć batalion radziecki oraz przybyłe posiłki dla WOP i służb bezpieczeństwa.

W trakcie strzelaniny w mieście chorąży Matysek razem ze swym plutonem pozostawał w obronie ko-

szar. Denerwował się. Nie mógł siedzieć bezczynnie, kiedy jego koledzy walczyli i być może ginęli kilka ulic dalej. Prosił szefa sztabu, aby mu pozwolił iść z plutonem do walki. Major Fomin tylko go ofuknął, przypominając, że tu również może być gorąco. Z chwilą gdy zaczął się pościg, Matysek za zgodą szefa sztabu zajął ze swoim plutonem miejsce na jednym ze *Studebakerów*. Podjechali pod Urząd Bezpieczeństwa, zabrali pluton podporucznika Fleminga i grupę porucznika Jaruzelskiego i udali się w kierunku na Mieniany, gdzie czerwonoarmiści nawiązali kontakt ogniowy z upowcami.

Zbliżali się właśnie do lasu położonego na południe od wsi Mieniany, kiedy natknęli się na grupkę czerwonoarmistów. Ci poinformowali majora Fomina, że w lesie jest banda. Słychać było nawet pojedyncze strzały i serie z broni maszynowej. Major Fomin rozwinął swoją grupę w tyralierę i razem z czerwonoarmistami zagłębił się w las.

Podporucznik Fleming szedł na lewym skrzydle swojego plutonu. Na prawym skrzydle znajdował się plutonowy Strzyżewski. Po lewej stronie Fleming miał moździerzystów Matyska, a po prawej zwiadowców porucznika Jaruzelskiego. Z plutonem Fleminga szło kilku żołnierzy radzieckich.

Las okazał się bardzo gęsty, a jego poszycie tworzyła bujna, soczysta zieleń. Zmniejszyli odstęp, aby się nie pogubić i nie postrzelać nawzajem. Szli wolno, ostrożnie. W ich stronę sypały się pociski, lecz oni przeciwnika ciągle nie widzieli. Ogień wroga

był coraz celniejszy. Śmiertelnie ranny został elew Stanisław Lisek. W pewnym momencie Fleming zauważył, że idący obok niego Matysek strzela w górę. Spojrzał w tym kierunku i zobaczył spadające z sosny ciało. A więc siedzą na drzewach.

— Podać po linii, uwaga na korony drzew — szybko wydał komendę.

Walka zaczęła przybierać formę pojedynków ogniowych. Kto pierwszy dostrzeże w gęszczu przeciwnika, ten wygra. Żołnierze musieli uważać na korony krzew i na gęste krzewy. Zewsząd czyhała śmierć. Padł już drugi żołnierz ze szkoły podoficerskiej — Bolesław Bieniek.

W pewnym momencie Fleming zobaczył kilka metrów przed sobą czarny otwór wycelowanej w niego lufy. To już koniec, pomyślał, lecz w tym samym momencie zajazgotała z boku seria *Diegtiariowa*. Lufa opadła w dół i zza pnia potężnego drzewa wysunęło się ciało upowca w oficerskim mundurze. Fleming obejrzał się. Z prawej strony, nieco z tyłu, stał czerwonoarmista o czarnej kędzierzawej czuprynie i smagłej twarzy. Uśmiechnął się do Fleminga i zaczął zakładać nowy dysk do *Diegtiariowa*. Podporucznik podszedł do niego i uścisnął mu dłoń. Razem zbliżyli się do zabitego. Czerwonoarmista odpiął mu pas z pistoletem *Parabellum*, a Fleming wziął pistolet maszynowy. Nie wiedzieli, że zabitym jest dowódca jednej z biorących udział w napadzie na Hrubieszów czot, „Kropiwa”.

Strzelanina w lesie nie ustawała, jednak powoli,

krok za krokiem, spychali żołnierze nieprzyjaciół w kierunku południowo-zachodnim. Po dobrej godzinie wycofujący się, wykorzystując znane tylko sobie przejścia, zdolali oderwać się od pościgu. Po linii poszedł rozkaz: „Wychodzić w prawo do zbiórki”. Do Fleminga podszedł porucznik Jaruzelski. Dowódca plutonu złożył mu meldunek, podał straty własne i straty wroga na jego odcinku.

Do chorążego Matyska rozkaz o zbiórce nie dotarł. Znajdował się już niemal na zachodnim skraju lasu, kiedy zauważył trzech chłopów, idących w kierunku doskonale widocznych zabudowań. Podszedł do nich:

— Wy kto? — spytał ostro, trzymając ich na muszce pistoletu.

Bez rozkazu podnieśli ręce do góry.

— My tutejsi, pane oficer. Ne ubywaj! — odpowiedzieli pół po polsku, pół po ukraińsku.

— Zobaczmy, co macie w kieszeniach. Wyżej ręce! — krzyknął Matysek, oglądając się jednocześnie, czy z lasu nie wychodzą jego żołnierze.

To wystarczyło. Jeden z mężczyzn sięgnął błyskawicznie za pasek spodni. Oddane przez niego strzały zlały się w jedno ze strzałami Matyska. Kula ugodziła zatrzymanego, ale i Matysek został ranny. W rękach pozostałych upowców również błysnęła broń. Kilka pocisków ugrzęzło w ciele chorążego. Z lasu wybiegli żołnierze. Wystarczyło kilka serii, aby trzech upowcy przestali komukolwiek zagrażać. Kiedy żołnierze dobiegli do Matyska, ten już nie żył.

Pododdziały pułku, jednostki radzieckiej i służb bezpieczeństwa po przegrupowaniu się ruszyły przez Modryniec w kierunku lasów terebińskich. „Przeczesaly” je dokładnie i nie natknąwszy się na nikogo wróciły do Modryńca. Tutaj pod ochroną żołnierzy z plutonu Matyska leżeli polegli: chorąży Franciszek Matysek, kapral Ludwik Pacanowski, kapral Jan Imirowicz, elew Bolesław Bieniek i elew Stanisław Lisek. Teraz ciała położono na jednym ze Studebakerów i kolumna ciężarówek ruszyła do Hrubieszowa.

Kiedy dojeżdżali do koszar, podporucznik Fleming dostrzegł przed bramą dwie kobiety. To pewnie matka i narzeczona Matyska, dzisiaj miały przyjechać, pomyślał i dopiero teraz dotarła do niego ta straszna prawda, że Matysek nie żyje.

Samochody wjechały na teren koszar. Pododdziały samorzutnie ustawiły się w czworobok obok samochodu z poległymi kolegami. Obok stojących nieruchomo, milczących pododdziałów pułkownik Sikorski i major Fomin prowadzili dwie kobiety: prawie pięćdziesięcioletnią Konstancję i dwudziestoletnią Reginę.

OSTATNIE DNI

Przez cztery dni, które nastąpiły po napadzie na Hrubieszów, pododdziały 5 pułku wspólnie z radziecką jednostką specjalną, szkołą podoficerską

9 pułku piechoty oraz służbami bezpieczeństwa tropiły rozproszone sotnie UPA. W okolicznych lasach często dochodziło do wymiany ognia.

W czasie tej akcji raniono lub zabito kilkunastu upowców, zdobyto też pewną liczbę broni i amunicji. Coraz mniejsze już grupy UPA przenikały przez linie wojska na południe, na Żniatyń, Przewodów, lub kryły się w doskonale zamaskowanych schronach. Po czterech dniach pododdziały powróciły do swoich garnizonów, do realizacji przerwanych zadań. Żołnierze 5 pułku niezależnie od zapewniania ochrony transportom przesiedlanej ludności ukraińskiej, strzegły torów, mostów kolejowych i drogowych, stacji załadowniczych, ludności przebywającej w punktach zbornych. Rozległe i wyczerpujące dla niewielkich sił pułku były to zadania.

Członkowie UPA i WiN początkowo przycichli. Nie na długo jednak.

Wszak zbliżało się referendum — wielka akcja polityczna powojennej Polski. W czerwcu dochodziło jeszcze do drobnych starć z oddziałami podziemia (20 czerwca zginął strzelec Roman Sala), ale walk na taką skalę, jak w kwietniu czy maju, już nie notowano. Podziemne ugrupowania zmieniły metodę walki. Od starć zbrojnych przeszły do akcji propagandowych związanych z referendumentem. Rozpoczęły się demonstracyjne przemarsze przez wioski, a specjalnie przeszkoleni agitatorzy organizowali w wioskach zebrania i rozdawali materiały propagandowe.

Jednocześnie upowcy widząc, że nie mogą wygrać

w bezpośrednich starciach z wojskiem, przeszli do walk dywersyjnych. Zaczęli tworzyć specjalne bojówki (4—6 ludzi), przeszkolone w sporządzaniu min naciskowych, naciągowych i odpalanych elektrycznie, które minowały mosty, tory kolejowe i drogi. Znowu padali zabici i ranni. Między innymi 27 czerwca 1946 roku dwaj upowcy, „Wołodia” i „Borsuk”, zaminowali drogę w pobliżu Dołhobyczowa w liczącej kilka gospodarstw wsi Kadłubiska. Jednocześnie w tym miejscu czota zorganizowała zasadzkę. Około godziny piętnastej na minę najechał samochód ciężarowy spółdzielni „Społem” z kilkoma osobami cywilnymi. W wyniku wybuchu miny samochód spłonął, a jadące nim osoby zostały ranne i ograbione z ubrań, kosztowności i dokumentów.

Również 2 lipca 1946 roku grupa składająca się z pięciu żołnierzy z 1 batalionu (wieźli z Hrubieszowa do Wareża zaopatrzenie) wpadła na minę założoną przez „Borsuka” i „Jasiona”. Mina detonowała pod pierwszą furmanką załadowaną pociskami do dział 45 mm, amunicją strzelecką i pościelą. W wyniku wybuchu eksplodowała amunicja. Zginęli: kapral Stanisław Błaszczuk, strzelec Czesław Nowakowski, kapral Michał Strykowski, starszy strzelec Szczepan Twardowski oraz dwie osoby cywilne. Piąty żołnierz został kontuzjowany.

Zdając sobie sprawę z fiaska akcji propagandowej członkowie podziemia zaczęli przygotowywać się do wystąpień zbrojnych w czasie bezpośrednio poprzedzającym referendum i podczas jego trwania.

Już w nocy z 27 na 28 czerwca wzmocniona czota przebrana w mundury polskie dokonała napadu na Obwodową Komisję Głosowania Ludowego w Dołhobyczowie, lecz przywitana ogniem grupy ubezpieczającej wycofała się pospiesznie.

W związku ze zbliżającym się referendum pododdziały 5 pułku piechoty wspólnie z funkcjonariuszami służb bezpieczeństwa miały stanowić ochronę 39 komisji obwodowych. Dzięki dobrej organizacji i operatywności właściwie rozdzielono szczupłe siły i w dniu głosowania na terenie powiatu hrubieszowskiego poważniejszych incydentów nie zanotowano. Jedynie w Werbkowicach padło kilka pojedynczych strzałów, nie wiadomo przez kogo i do kogo oddanych. Natomiast w Hrubieszowie po godzinie dwudziestej trzeciej, czyli już po zakończeniu głosowania, na komisję obwodową obliczającą głosy w siedzibie Miejskiej Rady Narodowej próbowano dokonać napadu. Czujność żołnierzy ochrony i szybkość działania grupy alarmowej 5 pułku udaremniła tę próbę. Niemniej prawie przez godzinę trwała wymiana strzałów pomiędzy przeszukującymi miasto żołnierzami, a ukrywającymi się członkami zbrojnego podziemia.

W pierwszej połowie lipca żołnierze 5 pułku przeprowadzili kilka akcji przeczesywania lasów, organizowali też zasadzki na prawdopodobnych i pewnych drogach przemarszu grup i oddziałów podziemia. Wpadali łącznicy, zaopatrzeniowcy, a nawet niewielkie patrole UPA.

W nocy z 7 na 8 lipca jeden z plutonów 1 batalionu, wzmocniony ciężką bronią maszynową, rozciągnął wokół Wereszyna sieć zasadzek. W jednej z nich znaleźli się plutonowi: Auguściak, Januszczak i Łapiński. Po północy drogą od wsi Poturzyn nadjechała furmanka, na której znajdowali się trzej mężczyźni: Michał Pryjma („Karmeluk”), Ostaś Sławko („Żeleźniak”) i „Strelec”. Na okrzyk: „Stój”, wóz zatrzymał się. „Strelec”, który pierwszy zorientował się, że wpadli w zasadzkę, rzucił się do ucieczki. Krótka seria z pepeszy położyła go na miejscu. „Karmeluk” i „Żeleźniak” podnieśli ręce do góry. Odebrano im erkaem, karabin snajperski, karabin Mauser i pistolet *Parabellum*. Na wozie znajdowały się zapalniki do min dla grupy dywersyjnej „Wołodii” oraz amunicja.

Były to już ostatnie dni pobytu 5 pułku na terenie powiatu hrubieszowskiego. Jego funkcje i zadania miały przejąć pododdziały 3 dywizji piechoty i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

W okresie realizacji zadania bojowego w powiecie Hrubieszów (15 XI 1945 — 13 VII 1946) żołnierze 5 pułku zlikwidowali 97 członków zbrojnego podziemia, ujęli z bronią w ręku 29, zatrzymali 43 wywiadowców i 250 osób podejrzanych o współpracę ze zbrojnym podziemiem. Zdobyli 1 cekaem, 7 erkaemów, 21 pistoletów maszynowych, 30 karabinów, 10 pistoletów i 110 pocisków moździerzowych, nie licząc granatów ręcznych. Okazali pomoc przy ewakuacji i ochronie 31 610 obywateli ukraińskich.

W czasie walk poległo 32 żołnierzy (w tym 2 oficerów), rannych zostało 14, a 1 został uprowadzony.

Piętnastego lipca 1946 roku w godzinach przedpołudniowych pułk opuszczał Hrubieszów. Na twarzach żołnierzy malowały się różne uczucia. Na jednych zadowolenie, że odchodzą ze stron, w których nieustannie czyhała na nich śmierć, na innych smutek, gdyż zostawili tu serce, a nawet małżonki niedawno poślubione.

Czołowe pododdziały wspinały się na Górę Tatarską, gdzie w otwartym Willysie stał pułkownik Sikorski, major Fomin i kapitan Żebrowski — zastępcy dowódcy pułku do spraw polityczno-wychowawczych. Jadący na koniu porucznik Bogdas spojrzał na dowódców i w pierwszym momencie ogarnęło go zdumienie. Oficerowie salutowali, ale twarze ich nie były zwrócone frontem do maszerujących pododdziałów. Patrzyli nieco na wschód od nadciągającej kolumny, w stronę kępy rozłożystych kasztanów. Bogdas obejrzał się i zrozumiał. Tam znajdował się cmentarz, a na nim koledzy polegli za spokój ziemi hrubieszowskiej. W oddzielnej kwaterze, razem z tymi, którzy zginęli tu w roku 1918, 1939 i 1944. W równych szeregach, jak na apelu, bez nazwy oddziału, po prostu żołnierze, co oddali swe życie za Polskę wolną, demokratyczną i sprawiedliwą. Dla nich przeznaczony był ten ostatni salut.

Bogdas uniósł dwa palce do daszka rogatywki. Dowódcy kompanii i plutonów zatrzymywali pododdziały, które następnie stawały frontem w stronę

cmentarza. Pułk żegnał swych kolegów nie według ceremoniału, z werblami i salwą karabinową, ale zwyczajnie, po ludzku. Zrozumieli to również stojący koło szosy ludzie. Odkryły się głowy, pokłękaly kobiety, tu i ówdzie rozległ się tłumiony szloch.



Eszelony 5 pułku już drugi dzień pędziły na zachód. W wagonach budziło się życie. Najpierw żołnierska toaleta, później śniadanie.

Transport, w którym jechali Ziółkowski i Janik, zatrzymał się na małej stacyjce. Do wagonu wszedł podporucznik Fleming pełniący akurat służbę oficera inspekcyjnego transportu. Plutonowy Ziółkowski zdobył się na odwagę:

— Czy obywatel porucznik może nam powiedzieć, dokąd jedziemy?

— Teraz już mogę, gdyż jesteśmy prawie na miejscu. Naszym nowym garnizonem będzie Piotrków Trybunalski.

Żołnierze ożywili się. Usiłowali sobie przypomnieć, gdzie leży Piotrków. Najlepiej zorientowany był plutonowy Sławecki.

— To będzie jakieś czterdzieści kilometrów na południe od Łodzi — stwierdził.

— O, to dość blisko mojego domu — ucieszył się Janik. — Jak myślisz — zwrócił się do Ziółkowskiego — chyba otrzymamy jakieś urlopy. Trzeba by pomóc rodzicom w żniwach.

— Nie ciescie się tak — odezwał się z końca wagonu jakiś żołnierz. — Nie jedziemy do Piotrkowa na majówkę. Ja znam te strony. Hula tu pełno różnych grup leśnych. Jakieś „Warszyce”, „Muraty”, „Prawdźice”, „Wilki”, i nie wiadomo kto jeszcze.

Przygaśli. Jak to, po takich wyczerpujących walkach w Hrubieszowskiem znowu mają się uganiać za jakimiś „Wilkami”? A inne jednostki? Jeden i drugi po cichu zaklął. Zapanowało milczenie, ciężkie, przygnębiające.

— No cóż, koledzy — odezwał się Sławecki. — Jest takie przysłowie: „Nosił wilk razy kilka, poniosą i „Wilka”.

Powoli, chociaż z trudem, zaczęli przyzwyczajać się do myśli, że oto los postawił przed nimi kolejne zadanie, wynikające z żołnierskiego obowiązku wobec ojczystej ziemi. Zaczęli rozumieć, że tu też chcą ludzie spokojnie orać, siać i zbierać plony, żenić się, rodzić dzieci i je wychowywać. I ten spokój muszą im zapewnić oni — żołnierze kołobrzeskiej piątki.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1988 r. Wydanie I

Nakład 90 000 + 200 egz. Objętość: 4,54 ark. wyd.,
4,0 ark. druk. Papier gazetowy 50 g, rola 84 cm. Odda-
no do składania w kwietniu 1988 r. Druk ukończono
we wrześniu 1988 r. Wojskowe Zakłady Graficzne
im. A. Zawadzkiego w Warszawie. Zam. nr 1438

Cena zł 70.-

U-60

Cena zł 70.-

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE OPERACJE KULISY

- Dramatyczne wydarzenia największych zmagañ wojennych w historii
- Przelomowe, nieznane momenty walk
- Czujnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu

ukazuje

CYKL WYDAWNICZY

w którego skład wchodzi niniejszy
tomik



ZAPAMIĘTAJCIE
TEN ZNAK

16/88